

# **Młyn Dyabelski**

---

---

na górze wiedeńskiej,

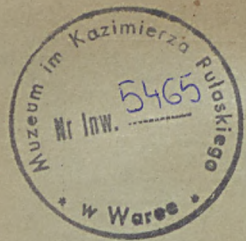
— CZYLI —

**Rycerz Ginter z Szwarzenau.**

Ciekawa powieść dla młodych i starszych.



Chicago, Illinois  
Drukiem i Nakładem W. Dyniewicz Pub. Co.  
1911



# Młyn Dyabelski

na górze wiedeńskiej,

— CZYLI —

Rycerz Ginter z Szwarzenau.

Ciekawa powieść dla młodych i starszych.



Chicago, Illinois  
Drukiem i Nakładem W. Dyniewicz Pub. Co.  
1911

**SN**  
ze zbiorów  
**STANLEYA NAJA**



## WSTĘP.

Prosimy was czytelnicy, pośpieszcie za nami do pięknej naddunajskiej stolicy austriackiej, do wesołego Wiednia.

Jeszcze nie możemy rozpoznać najdrobniejszego atomu miasta, a przewodnik wskazuje nam już jakiś smukły, kształtny, a cichy i poważny przedmiot w zasłonach mgły sinawej, który nie jest niczem innym, tylko sławną wieżą katedry św. Szczepana w dumnej stolicy Austro-Węgierskiej. Miasto rozciągające się w przestrzeni kilkumilowej jeszcze daleko, a szczyt katedry wymyka już ku nam na spotkanie. Długi szereg wozów i powozów, powoli jadących za sobą w stronę miasta—przed nimi tam i napowrót pędzące bryczki i konni podróżni, większe i mniejsze oddziały wojska maszerujące przy mady przysłonięte etain hrdlu fwyp gkż kż odgłosie trąbek i bębnow, chmurą kurzu przysłonięte gromady różnego bydła — to wszystko wskazuje na bezpośrednią bliskość



wielkiego miasta. Wozy te zaś dźwigają na sobie czerwony towar ceglany, materiał, z którego powstał ten labirynt i zamęt budowli wiedeńskich. Jeśli spytamy, z kąd pochodzą te miliony cegieł, to wskażą nam górę, z której tu i ówdzie wznoszą się białe i szarawe dymy. Jest to znana góra wiedeńska, w której łonie znajdują się nieprzebrane pokłady gliny, rozmiarów tak olbrzymich, że w niej nie tylko drugi, ale i trzeci, ba, i dziesiąty taki Wiedeń zbudowaćby można. Ta właśnie "wiedeńska góra" której przez złość teraźniejszość i przyszłość swą zawdzięcza stolica modrego Dunaju, stała się głośną z powodu dziwnych i tajemniczych wypadków w wiekach zamierzchłych.

Sądzimy przeto, że czytelnicy chętnie przyjmą tę pociągającą historję, która z góry z tej mgły wieków ubiegłych, jak sfinks z popiołów wyrosła i rozszerzyła się po wszystkich krańcach potężnego państwa, niesiona na skrzydłach złotej legendy.



## ROZDZIAŁ I.

W czasach, do których nasza powieść sięga, zupełnie inaczej było na Wiedeńskiej górze. Kultura, cały świat wzięwszy w swe dłonie, i tutaj także zostawiła swe widoczne ślady; ma się rozumieć i nie dziwota— jeśli pomyślimy, że wspomniana góra o dziesięć godzin tylko odległa jest od stolicy. Za dawnych a dawnych czasów okolica ta była w całym tego słowa znaczeniu pustynią. Dzikie leśne potoki szumiały z groźnym rykiem w gęsto zarosłych czeluściach wysokiej góry, a w pieczarach skalnych gnieździły się drapieżne sowy, puchacze i krwi chciwe rysie i żbiki. Kiedy podróżny stawał u krawędzi ciemnego boru, dreszcz przechodził po jego ciele, i ciężko jakoś robiło mu się na duszy, dopiero, gdy po przebytej piekielnej drodze znalazł się tuż przy klekocących kołach wodnego młynu, ukrytego w tej dzikiej samotni, ciężar częściowo spadał mu z piersi a serce żywiej zabiło. Chętnie stawał tu na odpoczynku spodziewając się posiłku, gdyż nad



drzwiami widniał olbrzymi napis. "Gospoda i zajazd." Tu więc przeważna część podróżnych, śpieszących do Wiednia za zabawą albo z interesem, zatrzymywała się na popas i odpoczynek.

Dokoła w kilkomiłowym promieniu nie było żadnego mieszkania; za to prawdziwa ludzkość gospodarza starczyła na osamotnienie i nie pozostawiała nic do życzenia. Błogosławieństwo rodziców buduje dzieciom domy, młyn dziedziczyli przez cały wiek synowie jednej rodziny i ostatni jego właściciel cieszył się w całej okolicy uznaniem; aż nagle stosunki zmieniły się do niepoznania, młyn w inne dostał się ręce, jakby na to tylko, aby się stać grabarzem dawnej dobrej sławy. — Nastąpiło to zaś od czasu, jak ostatni dziedzic uczynił krok pełen ciężkich następstw, w celu pojęcia za małżonkę jakąś piękną wiedeńską. Ta wszakże, wyrosła z pośród zabaw i uciech stolicy, nie zadowolniała się ciszą samotnego młyna; każdej nocy śniła o balach i tańcach miastowych, a w uszach dźwięczały jej bezustannie wesołe tony walców i przeróżnych melodyi, które na Praterze co wieczór wygrywają kapele. Czytelnik więc nie zadziwi się wcale, gdy mu przychodziło pożegnać się ze spuścizną ojców i dziadów, chcąc jednak nie zamącać

domowego pokoju, przychylił się do prośby swej żony i sprzedaż młyna ogłosił publicznie.

Niedaleko młyna na wysokiej i stromej skale wznosił się zamek Drachenfels; był to gród dawniej wspaniały i pyszny, a rodzina Drachenfelsów należała do najstarszych w kraju, przedkowie jej bowiem żyli już za czasów Karola Wielkiego. W czasie jednak, o którym mówimy, zamek stracił swą dawną świetność i w połowie rozpadł się w gruzy, przez puste okna tańczył wicher po zniszczonych salach a właściciel jego rycerz Kilian, odznaczał się nadzwyczaj dziwnym charakterem. On to był właśnie tym nowym nabywcą. Kupiec nie wyglądał na człowieka tak wysoko urodzonego i znakomitego, jak również nie wyglądał wcale na znawcę w rzeczach młynarskich; pocóż więc starał się o posiadanie młyna? Zapłacił natychmiast żadaną sumę, co przecież jest najważniejszem przy sprzedaży. W ten sposób sprawę bez długich zachodów załatwiono i nowy dziedzic sprowadził się w tymże samym dniu. Jednak nie przybył sam tylko, z nim przywlokła się cała czereda ludzi podejrzanej powierzchowności i życia, a w końcu sam rycerz Kilian z Drachenfelsów. Więcej jeszcze, pokazało się już w krótkim czasie, że tylko Kilian był



właściwym dziedziecem, podczas gdy reszta mieszkańców młyna, słuchała go jak niewolnicy. W ten sposób przeminęły piękne dni Arranjouezu dla spokojnej dotąd ustroni. Jak już wspomnieliśmy wyżej, od rycerza Kilianna nie można się było niczego dobrego spodziewać; z dniem każdym przekonywano się, że był nietylko surowym i absolutnym zwierchnikiem, ale dzikim złoczyńcą, któremu nie wiele na tem zależało, przeszyć pierś czyją oszczepem. Szeptano sobie nawet na ucho, że on nocą mglistą robi wycieczki, napadając na spokojne karawany podróżnych i kupców i obdziera ich z pieniędzy i kosztownych towarów.

Najlepszym chyba dowodem życia tej zbójczej bandy były bijące w oczy zjawiska, jak, że koła młyńskie nie odzywały się weale turkotem, a na miejsce tego przyjemnego odgłosu pracy poczciwej, rozlegały się rozszalałe krzyki i wrzawy jego mieszkańców, oddanych całkiem wszelkim najgorszym namiętnościom; zwłaszcza, kto późną nocą wracał koło tego gniazda, słyszał przenikliwe głosy, wylatujące z piersi silnych ale półdzikich, słyszał zamęt bijących się ze sobą ludzi i przerażające echa jęków i złorzeczeń. Przekonano się wreszcie, że poczciwe dotąd ustronie zamieniło się na jaskinię

zbojców i łotrów i że już niejedyn podróżny, szukający w młynie pokrzepienia i spoczynku, spoczął weale niespodziewanie na wieki.. zginawszy z rąk zbójców, bez wieści.

Zaginionych ludzi było już więcej, aż liczba ich dochodziła setek. Nic też dziwnego, że podróżni coraz rzadziej zachodzili w te strony, że wieść o zbójczej bandzie, jak upiór odstraszała wszystkich od dawnej gościny gospody. Powieści za powieściami, każda w tajemniczą odziana sukienkę, obiegały całą okolicę; dostawały się i do pałaców i na poddasze i pod strzechę słomianą, wszędzie sięjąc niepokój i zgrozę. Tłem ich były: krew, sztylet, ogień i grabież, a na tem tle okropnem rysowały się jeszcze straszniejsze stosunki pokrwawionych trupów, otoczonych zgrają zwierzęcego wyrazu ludzi. Widma ich, o dzikich, namiętnych oczach, o rękach potężnie uzbrojonych w maczugi i miecze — nie dawały spokoju okolicznym mieszkańcom.

Stawały przed nim we dnie i w nocy, przy pracy i wśród odpoczynku, w chwili wesela i smutku. Słowem była to straszna trucizna, wpuszczająca sromotny jad w serca nawet najniewinniejsze. Jakby dżumą zakażone miejsce zbójcze zdawał się unikać nietylko człowiek, ale i zwierzę wszelakie, a



nawet roślinność skupiła się więcej w dolinie, niż na polanie około młyna, gdzie drzewa od ciągłego dymu zbójeckich ognisk opadły z liścia i poczerniały jak przedpotopowe olbrzymie szkielety.

Ale jakżeż zachowywało się względem tych wybryków prawo i rząd państwowy? — spyta najślusniej w świecie niejeden z czytelników. Czy milczało obojętnie, słysząc o tylu zbrodniach, popełnianych bezkarnie, o tylu krwawych przestępstwach i łupieskich napadach? Czy przedstawiciele i wykonawcy sprawiedliwości, założyli tylko ręce patrzając bezmyślnie na łunę pożorów i na ziemię krwią niewinnych przesiękłą. O nie! jęki mordowanych i pohańbionych, na skrzydłach powieści i licznych doniesień, zleciały w naddunajską stolicę, jak stado kraczących kruków i sępów, jak popiół i kamienie wybuchającego wulkanu.

Sąd wiedeński wzięwszy do pomocy silne oddziały wojska, obsaczył pewnego poranku zbójecką kryjówkę, w celu czynienia poszukiwań. Jakiż wszakże rezultat był tej miejscowej inspekcji. Prawie zerem tylko — nigdzie bowiem nie znaleziono ani śladu zabitych, ani kawałka zagrabionych przedmiotów. — Z młyna udał się sędzia ze swymi ludźmi na pobliską górę do zamku Drachenfels,

w mniemaniu, że zapewne podróżni wraz z obrabowanymi skarbami tam zostali ukryci; ale kogóż znalazł w tem rozpadłem gnieździe? Nikogo, prócz żony Kiliana z Drachenfelsów, Maryi, która w zamku musiała spędzić żywot osamotniony, bo mąż nie pozwolił jej zamieszkać w budynkach młynu.

W ten sposób Kilian prowadził dalej rzemiosło, dopóki tysiącznych swych podłości nowym nie ukoronował występkiem.

Znamienity pan, hrabia Henryk z Senftenbergu, przejeżdżał pewnego wieczora z całym swym majątkiem na jucznych koniach tuż około młyna. Czyż nie znał tej niebezpiecznej okolicy? Albo czy spuszczał się na męstwo swych ludzi, którzy z nim razem jechali? Nie wiem tego, dość, że szukał w młynie wytchnienia po uciążliwej podróży.

Ostrożniej postąpiła sobie trupa kupców, która przyłączyła się dla większego bezpieczeństwa z hrabią w podróży, a teraz podziękowała hrabiemu za zaproszenie do młyna, wybierając daleko chętniej olbrzymie drzewo opodal w dolinie, w cieniu którego postanowiła wypocząć spokojnie i czekać na powrót Senftenberga. — Ale powrót ten przeciągnął się bardzo długo. Hrabia całutki dzień tam przesiedział, wieczór już począł zapadać a jego jeszcze nie było widać.



Zaniepokojeni, postanowili choćby sami puścić się rychło w dalszą podróż, nie czekając swego towarzysza, gdy wtem usłyszeli nagle dziki hałas, jakby ludzi walczących ze sobą, z pośród którego dobywały się oderwane przeraźliwe głosy, błagające o pomoc. W jednej chwili wypadło na nich pięć czy sześć koni, a zanimi krzyk wzmagął się coraz większy jakby rozwścieklone wojsko ścigało nieprzyjaciela.

Kupcy drżeli na całym ciele, nie mogąc nawet oddychać. Ale jakież było ich zdumienie, gdy w tejże chwili spostrzegli jakiegoś mężczyznę i kobietę, wychodzących tuż przy nich ze skał roztrzaskanych, w tym mężczyźnie poznali hrabiego Senftenberga.

Hrabia wyszedłszy z rozpadliny, począł uciekać z tajemniczej kryjówki, ale wkrótce za uciekającymi zjawilo się z tej samej czołści kilku zbrojnych mężów z gołymi mieczami i poczęło ich ścigać. W jednej chwili dogonili nieszczęśliwych, i w jednej chwili zniknęli nazad w rozpadlinie skalnej.

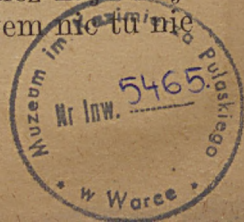
Pojmiecie kochani czytelnicy, że przestraszeni kupcy nie myśleli wcale dłużej narażać się na niebezpieczeństwo; dosiedli swoich koni i wyciągniętym galopem puścili się w stronę Wiednia, gdzie natychmiast złoży-

li świadectwo z dziwnych wypadków w okolicy Djabelskiego młyna.

Sędzia śledczy otrzymał rozkaz przeprowadzenia powtórnej inspekcji w lasach i skałach zakłętego miejsca, co natychmiast, bo jeszcze tego samego dnia wykonał. Rzeczywiście znalazł opisaną przez kupców tajemniczą skałę, a nawet podziemny kruzgank, łączący się z domostwami młyna; ale znów nie trafili na najmniejszy ślad jakiegóżbrodni lub innego przestępstwa.

Podziemie było głucho i puste, twarde skały najmniejszymi nie zdradziły się znakami. Sędzia spodziewał się znaleźć tutaj trupy pomordowanych, ślady krwi niewinnych męczenników, nagromadzonych stopy złota i innych kosztowności, z których każdy w te strony zabłąkany wędrowiec, czy to kupiec czy magnat wojażer, zostawał ograbionym.

Ciche, ponure ściany podziemnego wąwozu były jednak czyste, jakby na przekór pogłoskom i wieściom, grunt pod stopami wyrównany skalisty, suchy był i nagi, powietrze jedynie duszne i zabijające. Tu i owdzie rozwierające się pieczary, również najmniejszego nie zdradzały śladu. Słowem nie tu nie świadczyło za zbrodnią.





Teraz udał się sędzia na inspekcję do młyna, który rozkazał otoczyć swym ludziami. Ostrożnie otwarto drzwi domu i również ostrożnie poczęto wstępować na schody, gdyż przypuszczano najnaturalniej, że rycerz Kilian i jego towarzysze stawiają groźny opór. Ale nigdzie ani w izbie mieszkalnej, ani w innych zabudowaniach nie spotkano nawet jednego człowieka; a tem mniej jakichś śladów zbrodni i kradzieży.

W tenże sam ścisły i ostrożny sposób przejrzano wszystkie zakątki i całą okolicę; ale ani żywej, ani umarłej niezdybano istoty. Ach pomyślał sobie sędzia oni skryli się wszyscy wraz z skarbami i ciałami pomordowanych do dzikiego zamku Drachenfelus; tam ich z pewnością spotkamy.

Natychmiast więc obstawiono to stare gniazdo i ściśle oddano kontroli. Ale i to było jak wymarłe; na głośnie nawoływania odpowiadało tylko przeciągłe echo. Dziwne zjawisko! tem jeszcze dziwniejsze, że zamek przecież był dawniej zamieszkały. Zresztą znaleziono mnóstwo śladów, dających poznać, że mieszkańcy jego ledwo przed chwilą opuścili stare ruiny. Tak np. na stole hrabiny Maryi, żony Kiliana, leżała jeszcze zaczęta robótka ręczna, a tuż przy stole stojąca szafa zawierała całkowitą jej garderobę. Na

stolach stały do połowy wypróznione kielichy, a w kuchni tlił jeszcze ogień z pod warstwy popiołu. Więc, cóż do kaduka, stało się z hrabią i jego wierną drużyną? Czyż hasło "Bóg z nami" uniosło ich gdzieś w powietrzne szlaki? Gdzie pozostawał rycerz z Senftenburgu z swymi ludźmi i w jakim miejscu ukrył swe zrabowane skarby?

Oto pytania, które sobie sędzia śledczy ustawicznie zadawał, i nadaremnie silił się na nie odpowiedzieć.

Powrócił nazad do młyna, aby poszukiwania jeszcze poraz wtóry dokonać. Zaledwie jednak próg jego przestąpił, aż tu padł piorun z pogodnego nieba, a za nim straszny grzmot, który wszystkich obecnych wstrząsnął do głębi.

W tejże samej chwili zjawił się w powietrzu cały kłęb dziwnych postaci, które błyskawicę, spuścił się z szumem na ziemię. re z piekielnym wrzaskiem i śpiewem, wśród dalszego grzmotu piorunów i oślepiających Sędzia i jego asystenci stanęli jak skamieniały. — Stracili słuch i wzrok z powodu tej piekielnej sceneryi.

Kiedy wreszcie ocknęli się cokolwiek z przerażenia i odzyskali chwilowo przytomność, bez żadnego namysłu dosiedli piorunem swych koni, i z takim błyskawicznym pędem



uciekali w stronę stolicy, jak jacy z bajki zaczarowani synowie ciemności.

Rzecz ta stała się głośną, a głos ludu twierdził na pewno, że w tem tylko głównie djabeł działać musi. On, nędznik, opanował rycerza Kiliana, zmusił go do tyłu morderstw, a w końcu do zabicia hrabiego z Senftenbergu. Wywdzięczając zaś mu się z dobrze spełnianych poleceń, zabierał ciała pomordowanych w przestwory powietrzne, aby żadnego śladu zbrodni nie zostało.

Skoro jednak czas umówiony wzajemnym układem przeminął, djabeł porwał hrabiego wraz z jego współnikami do piekła, a skarby przez niego zagrabione zakopał w ziemi na kilka tysięcy sążni głęboko. Tak więc niezmierne skarby leżały bezpożytecznie we wnętrzu ziemi, oczekując swego wybawienia.

Podobnegoż wybawienia oczekiwały także i dusze pomordowanych, a oba te wybawienia muszą ręką w rękę równocześnie nastąpić.

Tak wyjaśniano sobie straszną i tajemniczą opowieść, którą kupcy coraz jaskrawszymi malowali barwami i nie też dziwnego, że odtąd cicha uprzednio za dawnych dziedziców ustroń, otrzymała nazwę 'Djabelskiego młyna' — nazwę, która wszystkich wpra-

wiała w przestrach, a matki nią dzieci swe niegrzeczne straszły.

---

## ROZDZIAŁ II.

Chociaż tak wielkiego znaczenia były wspomniane powyżej wypadki, koło czasu toczyło się naprzód niewstrzymanie, inne znów wypadki wyszły na widowisko chwilowe, a strasna historia "Djabelskiego młyna" trawą, jak to mówią, poczęła porastać; a przecież dopiero lat ledwo trzydzieści, jak hrabia z Senftenbergu zniknął bez śladu.

Sam młyn istniał jeszcze co prawda, ale sława jego choć się nie wzmogła, nie polepszyła się wcale; przestrzeń cała dokoła była pustą i dziką i tylko nocną godziną powtarzała się bez przerwy strasna djabelska kantata. Spekulacya dopiero kupiecka przyczyniła się cokolwiek do podniesienia tych pustek z upadku.

Jakiś wytrawny spekulant, wybudował wspaniały zajazd, w którym miał tak dobrą kuchnię i piwnicę, że najbogatsi i najznakomitsi wiedeńscy magnaci ciągnęli tutaj łańcuchem, wiedzeni także ciekawością oglądania tajemniczą mgłą osłoniętych ruin. Pewnego wieczora siedziało przy stole bardzo we-



sołe towarzystwo panów i rycerzy, a gospodarz krzątał się około gości aby wypróżnione kubki nowym napelnić nektarem.

Nie mało także przyczyniał się do ożywienia i urozmaicenia zabawy, śpiewak lutnista, który trafił tu niespodzianie w podróży, a kożystając z dogodnej sposobności talentem swym i dowcipem w pochwalnych dla rycerstwa pieśniach, rozbudzał wesołość i życie. Jeden tylko z pomiędzy biesiadników nie brał wcale udziału w ogólnej zabawie. Siedział smutny, zamyślony, z głową schyloną na dół, z oczami jak wbitymi w ziemię. Dopytujący się, otrzymywał lakoniczne i prawdziwie spartańsko-krótkie odpowiedzi; zwolennik zaś ożywionej rozmowy, odwracał się od niego, bo z ust rycerza ani szelest głosu nie wyszedł. Siedział jak pół martwy, jak automat. Mógłby sobie ktoś pomyśleć, że rycerz ten zabrany został w towarzystwo przemocą i wyłącznie jako podatny przedmiot żartów i uszczypliwych śmieszek reszty towarzystwa, tymczasem przeciwnie: ogólnie okazywany mu niezwykle szacunek, wskazywał na jego wysoką godność i znaczenie. Był nim Ginter z Szwarcenau, pan miastowy i wykwintny, lat około 25.

Szerokie plecy, silny grzbiet, wydatne członki, były najlepszą zewnętrzną oznaką

fizycznej siły. Wysokie, ciemnym włosem okolone czoło, wskazywało na wysoką inteligencję, słowem, natura zdawała się nad tym młodzieńcem wysypać róg obfitości swych darów, a mimo tego, dla czegoż tak jawnie okazywał brak wewnętrznego zadowolenia i szczęścia. Cóż to właściwie być mogło, co oko jego chmurą przysłoniło ciemną? Dleczegoż wzrok jego tak smutnie zatopił się w ziemię?

Jak już powiedzieliśmy, towarzystwo szanowało milczenie rycerza i umawiało się z sobą, aby powrócić nazad do Wiednia i tam w której restauracyi chwilkę jakąś jeszcze swobodniej bez smutnego towarzystwa przepędzić. Tedy zbliżył się do rycerza przyjaciel jego, Faust z Kleeburgu i rzekł: “No cóż, przyjacielu Ginterze, nie powrócicie już dzisiaj z nami do Wiednia?

— Nie mogę i nie jestem w stanie brać dzisiaj udziału w zabawie i wesołości, odrzekł Ginter z Szwarcenau z smutnym uśmiechem, a więc odjedźcież sami i pozostawcie mię tutaj rozmyślaniu nad moją tajemnicą. Inni chcieli się temu oprzeć, ale Faust dał im znak aby milczeli.

Spodziewam się, przyjacielu Ginterze, zawołał podniesionym głosem, że gdy się powtórnie spotkamy, a nastąpi to za kilka dni, smutek twój zniknie i na twarzy znowu u-



śmiech szczęścia zaigra. Dotąd Bogu cię oddaję! — To mówiąc podał mu rękę, a za nim rycerze: Bodo, Wallberg i Trausnitz. Poczem odjechali, zostawiając go tylko z śpiewakiem, który także pozostał.

Długi czas nie przemówiono ani słowa, skoro wszakże ucichł już odgłos odjeżdżających rycerzy, śpiewak, Forhwaldem zwany, uderzył znowu w struny, grając przygrywkę do pieśni. Potem obrócił się do Gintera, prosząc go o pozwolenie, zaśpiewania pieśni na jego cześć i sławę. Byłem przy tem, rzekł, jak na ostatnim turnieju otrzymaliście pierwszą nagrodę a piękna Matylda ze Staufen przepasała was zwycięską szarfą swej barwy i zawiesiła na waszą szyję łańcuch szczerozłoty. Ach, jakżesz przytem pięknej dziewczynie krew biła do twarzy! A i wy także nie byliście na to całkiem obojętni, i wy także zaczerwieniście się z rozkoszy! Na tę mowę rycerz spłonął na nowo; nie lubię słuchać o tych rzeczach — rzekł — i mówił dalej: ‘Znacie zapewne rycerza Hansa ze Staufen, ojca dziewczycy Matyldy i zamek ich jest tutaj zapewne w pobliżu? — Czy ich znam? — odrzekł śpiewak — powiadam wam, nie jeden raz byłem w jego zamku! Zdaje się być bardzo bogatym człowiekiem, ale jak mówią cał-

kowiec addanym także mamonie. Ale, oto idzie gospodarz, on zna lepiej jego historię!

Gospodarz, który słyszał całą tę rozmowę, przyłączył się natychmiast do pogawędki i zaczął:

“Co się tyczy tego Jana ze Staufen, słusznie mówicie, a i na biednych czasami spogląda. Dla tego także, aby skarby swoje powiększyć, postanowił już córkę Matyldę wydać za bogatego rycerza Ottona z Lobensteinu, chociaż przeciwko temu możnaby wiele przytoczyć, gdyż posiadacz Staufenburgu myśli, że majątek Lobensteina znajduje się najzupełniej w porządku, ale tak nie jest, o nie jest!

— Jakby go tarantula ukłóła, tak szybko podniósł się rycerz z siedzenia. Co mówisz człowieku — zawołał namiętnie — czysta istota Matylda z Staufenburgu i ten łotr Lobenstein mieliby tworzyć parę! Obie te osoby byłyby tak źle z sobą dobrane, jak np. król Salomon i kominiarz! — Tylko po mału, szlachetny rycerzu, odrzekł gospodarz, o kilka kroków w tył się cofając; nie wiem, przez co wam dałem powód do tak brutalnego występowania. Nie powiedziałem także, że Matylda została już zaręczoną, a tem bardziej zaślubioną. Nie, poinformowałem pana tylko, że ojciec Matyldy życzy sobie, gorąco nawet,



zawarcia związku pomiędzy swą córką a rycerzem z Lobensteinu, a jest to fakt dobrze mi znany. Ma się rozumieć, tego nie wiem czy piękna dziewczyna na ten związek przystanie, ale wiem to że ojciec życzący sobie wykombinowanego związku, potrafi swoją wolę narzucić dziewczęciu, do czego zmusi go prawie rycerz Lobenstein swymi pieniędzmi. Ale, ale, — dodał, patrząc ku drodze — kogoż tu Bóg czy djabeł do nas sprowadza.

Wszystkich oczy zwróciły się ku wejściu; we drzwiach ukazało się zjawisko jakby z ubiegłego stulecia, była niem stara, nagarbiona kobieta której śmiałość i błyszczący wzrok, zostawały w zupełnej sprzeczności z całym jej strojem. Stary kapelusz filcowy rzucał cień na tę twarz starożytną, członki okryte były pstrą chustką, która pomalowaną była w przeróżne najdziwaczniejsze znaki i figury; w rękę trzymała sękaty kosztur, który na górnym końcu opatrzony był czaszką trupią, cały od góry do dołu zdobiły zwoje węzłów i jaszczurek. Stara oddawszy pokorny ukłon obecnym, usiadła sobie zdala od mężczyzn przy najmniejszym stole. Zachowanie jej było pełne taktu a zarazem respektu.

Rycerz z Szwarzenau koniecznie chciał się dowiedzieć, co też za dziwne zjawisko ma

tuż przed sobą. Dał więc znak gospodarzowi, aby ufetował babę na jego koszt i zwrócił się do niej samej, aby się o jej stosunki dopytać. Stara odpowiedziała, że powraca z Ziemi świętej, gdzie udała się w pokutniczej pielgrzymce, aby odpuszczenie swych grzechów uzyskać.

— Jak panowie widzicie, mówiła dalej, cała jestem bardzo zmęczona i jakby zbita. Przyczyna tego nie leży tylko w nużącej podróży, ale głównie w przestraszu, jakiego zeszłej nocy doświadczyłam. Wspomnienie tej przygody, jeszcze teraz dreszczem mnie przejmuje.

— No, jakiegoż to rodzaju była ta przygoda, która was tak przeraziła — zapytali równocześnie obaj panowie.

— Otóż, ciągnęła stara kobieta, wczoraj wieczór, gdym była może o godzinę drogi oddaloną od tego zajazdu spotkała mię straszna burza, a ponieważ błyskawice blaskiem swym wskazywały mi jakiś dom, młyn w pobliżu, postanowiłam więc jak najprędzej się tam ukryć! Każdy dobry duch Boga chwali! — zawołał śpiewak i przeżegnał się — wy odważyliście się nocować w Djabelskim młynie? I wracacie zamtąd cało? Ja byłem pewnym, że szatan każdemu kark skręca, kto tylko próg młyna przestąpi!



Nie tak, przerwał gospodarz z pośpiechem, podając pielgrzymce przekąski, tylko djabeł pilnuje w młynie wielkiego skarbu i musi go tak długo pilnować, dopóki ktoś nie zapisze mu się swą krwią serdeczną. Ktoby zaś pragnął osiągnąć skarb bez zapisania duszy swej szatanowi, ten przez współników mistrza w ten sposób będzie doświadczony, że mu się w końcu odechce złota na zawsze. Nie prawda, kochana pani, i was złe duchy strasznie doświadczyły!

— Nie macie wyobrażenia — odrzekła stara — jak przerażającym był spoczynek w tym młynie; jeszcze dotąd mi huczy w uszach jęk i krzyk tych, którzy tam prawdopodobnie zostali zamordowani i pogrzebani a teraz oczekują uwolnienia.

Głównie zaś wpadło mi w ucho skowyczenie i łkanie jakiejś kobiety, chciałabym tylko wiedzieć, kto jest tą kobietą, która tak długo pozostała przy życiu.

I tu miał gospodarz wyjaśnienie; to nikt nie jest inny — rzekł z przekonaniem — tylko żona Kiliana z Drachenfelus gdyż głos ludu mówi, że i ona stała się ofiarą tego podłego człowieka.

Gospodarz i śpiewak wyszli wkrótce do ogrodu aby w wolności pomówić o wielu waż-

nych sprawach, za to rycerz z Szwarzenau pozostał sam ze starą.

— Panie rycerzu — rzekła stara — wy kochacie piękną Matyldę z Staufenbergu, nawet chcecie tam jechać, aby ją pojąć za swą małżonkę. Czy nie prawda?

Rycerz zdumiał się bardzo tą mową pielgrzymki, ta jednak nie zważając na to, ciągnęła dalej bez wachania. Zostaniecie w Staufen nieprzychylnie przyjęci przez ojca Matyldy; ale nie zważajcie na to, tylko śmiało naprzód, wszystko się powoli ułoży, jak koniec dobry wszystko dobre; bo chociaż stary Staufenberg chce koniecznie piękną córkę Matyldę przykuć łańcuchem małżeństwa do tego łotra Lobensteina, przecież łańcuch ten jeszcze pęknąć może. A tylko śmiało naprzód!

Rycerz Ginter z Szwarzenau, czy jesteście gotów na krok jaki śmielszy? — Rycerz pojął dokładnie zamysł starej pielgrzymki, stanął więc natychmiast z siedzenia spojrzał bystro w oczy kobiety i rzekł głosem pewnym, który zdradzał silne postanowienie. — W każdym wypadku stoję na rozkazy!

— Wiedziałam, że tak powiesz, bo znam cię dobrze. Tak jest, dzielną twoją odwagę, waleczne twe ramię, serdeczną twą wspaniałomyślność, niewzruszoną twą miłość i wier-



ność znam już od dawna i w tobie dlatego pokładam całą nadzieję. Musisz uwolnić mnie i dusze pomordowanych w Młynie djabelskim, a przez wybawienie to uzyskasz dopiero Matyldę i wszystkie skarby ukryte w łonie ziemi przez szatanów. Jeszcze więc raz pytam się, chcesz dopiąć tego celu? — Chcę! — odrzekł Ginter z Szwarzenau, podnosząc rękę jak do przysięgi.

— Zatem polecam ci stawić się w Djabelskim młynie o północy z soboty na niedzielę. Ukłęknij i przysięgnij! — Rycerz nie wahał się ani chwili uczynić zadość jej życzeniu. Silnym, męskim głosem powtarzał za nią słowa przysięgi. Podczas jej mowy postać jej stała się coraz to większą i większą, bo dosięgła już nawet sufitu, a rycerz patrzył z przerażeniem na jej wzrost olbrzymi; nagle zniżyła się do swej naturalnej wysokości i zaczęła z każdą chwilą znów maleć coraz więcej rysy jej twarzy stawały się drobniejsze, aż wreszcie znikła zupełnie, bez najmniejszego szelestu, z tak błyskawiczną szybkością, jak płomień świecy zagaszony nagłym podmuchem.

Czytelnik zadziwi się niemało tą tajemniczą kobietą i będzie snuł przeróżne domysły, tak samo miało się z Ginterem, aż w końcu przyszedł do przekonania, że tą starą piel-

grzymką nie był nikt inny, tylko duch nieśczęśliwej małżonki Kiliana; ona prosi o wybawienie swoje i wszystkich pomordowanych, w tym celu przysłała do mnie a jestem pewny, że nie uczyni nic podstępnego.

---

### ROZDZIAŁ III.

W żywym dziewiczym blasku weszło słońce dnia następnego po wschodniej stronie horyzontu, a pyszne zamki Niższej Austrii, jak gniazda przyczepione do skalistych zboczy, jaśniały wspaniale w złotych jego promieniach. Piękny poranek zastał już i Matyldę, dziedziczkę zamku Stufenbergskiego, na nogach, która natychmiast udała się do zamkowego ogrodu, aby tam wciągnąć do syta świeże i wonne powietrze w swe młodzieńcze piersi. Wesoło bił skowronek swój psalm poranny w niebieskiem eterze, cała natura pachła wonią kwiatów — i szczególne — serce pięknej Matyldy, pomimo tylu cudów przyrody pozostało niewzruszone, a z oczu płynęły łez zdroje, z ust dobywały się ciężkie westchnienia i jęki, ręce splotły się z sobą wzajem w konwulsyjnym uścisku. Musiało ją spotkać coś chyba bardzo smutnego, inaczej bowiem, ona znana w całej o-



kolicy z swego świeżego i wesołego umysłu, nie byłaby teraz załamywała rąk w rozpacz i piękne oczy mglila łzami bóleści. Nagle usłyszała szelest nóg stąpających po piasku, który okrywał chodniki ogrodu, była to powiernica Matyldy, jej kamerdynerka Berta — a całe jej zjawienie się nagłe, kazało się domyślać, że ma swej pani wiele nowości zakomunikować.

— Najdroższa pani, zawołała panna, gdy już zbliżyła się dość blisko, na rany Chrystusa, czybyście odgadli, kto przybył właśnie do zamku? Najświętsza Dziewico, byłabym głośno krzyknęła z radości, zobaczywszy go, gdyż tylko z nim zakończą się nasze cierpienia. — Matylda spoglądała załamionym wzrokiem na swą powiernicę, myśli jej jednak były tak wzburzone bólem duszy, że na razie nie mogła zrozumieć słów do niej wyrzeczonych. Nie odpowiedziała więc nie swojej Bercie. Tedy Berta mówiła dalej: Więc nie chcesz nic słyszeć o szlachetnym rycerzu Ginterze z Szwarzenau? — Matylda teraz dopiero stała się uważniejszą. Nie wymawiaj jego imienia, rzekła, on mię z pewnością już dawno zapomniał; zresztą nie jest ci wcale tajemną wola ojca mego co do związków małżeńskich!

Ale cała jego wola nic nie znaczy i niczego nie dokona — odrzekła powiernica — wiedzcież więc o tem, że tym gościem, który właśnie przybył do zamku, jest rycerz Ginter z Szwarzenau; a ja natychmiast go tutaj sprowadzę! To mówiąc odbiegła jak wicher szybko nie czekając na odpowiedź i przyzwolenie swej pani.

Tymczasem rycerz Ginter był gotów wjechać w bramę zamkową i pragnął w tejże chwili widzieć się z panem zamku, Hanssem ze Staufen. Znalazł u niego, gdy swe nazwisko wyjawiał, bardzo przyjazną gościnę, a sam gospodarz obdarzał go swymi względami. Ale dobry stosunek starego rycerza z Ginterem trwał tak krótko jak piękna pogoda kwietniowa; zaledwie bowiem oznajmił Staufenbergowi właściwy cel swego przybycia, ten wybuchł piekielnym śmiechem; wybicie sobie te głupstwa raz na zawsze z głowy, mój panie bracie, ozwał się tonem brutalnym, cóżby robiła Matylda w waszej na polu już rozpadłej mysiej jamie gdybym był wiedział w jakim przybywacie zamiarze, brama zamkowa nie byłaby się przed wami rozwarła. Im prędzej znowu was odemnie odzieli, tem lepiej. A teraz Bóg z wami! To powiedziawszy, wstał i znikł, w sąsiednim gmachu.



Rycerz Ginter stał jak ogłuszony tym nagłym zwrotem rzeczy iż poczęło mu ciemnieć się przed oczyma, jakby go życie opuszczało. Kilka minut tak upłynęło, wtem usłyszał, jak lekka ręka wsparła się na jego ramieniu, a dotknięcie to przywróciło mu nazad przytomność. Oglądnął się i poznał Bertę, powierniczkę Matyldy, młodej dziedziczki Staufenbergu. Objawiła mu chęć zaprowadzenia go do pięknej kochanki, na co ma się rozamieć, zgodził się z całego serca. Po kilku minutach dostali się do ogrodu i do tego miejsca, gdzie Matylda sama pozostała.

Czyż mamy opisywać wrażenie, jakiego doznali oboje młodzi, z powodu tych niespodzianych odwiedzin? Ach czyż mamy odmawiać niesłychaną radość i zachwyt, jaki ich przejął w tej słodkiej chwili, gdy długo nie mogli słowa wyrzeknąć, spleceni rozkosznym uściskiem? Ale biedni mieli być nagle zrzuceni z nieba swych zachwytów — właśnie bowiem w tej chwili przybył do zamku Otto z Lobensteinu, aby staranie swoje ostatecznie skutkiem uwieńczyć! Obecność Gintera została mu zdradzoną przez jednego ze służby dworskiej, a zawistny los chciał, że właśnie spotkał kochanków, gdy rozkosza

napelnieni ogniste składali na swych ustach pocałunki.

Otto przyskoczył do nich wściekły ze strasznego gniewu, uderzył silnie Matyldę i nazwał ją wprost w oczy prostą ulicznicą.

Napadnięci obrócili się ku niemu. Nędzniczka krzyknęła Matylda, ty śmiałaś mię dotknąć? Ty, którego bardziej nienawidzę od najobrzydliwszego gadu, którego się nogą przygniata? Nazad, albo zawołam pacholków mego ojca, by ci dali ucuć swych pięści. Jeszcze śmielej wystąpił przeciw nacierającemu Ginter z Szwarzenau. Ottonie z Lobensteinu, rzekł zimno, prawie lodowato, odejdźcie i szanujcie swe życie! Jeden z nas musi umrzeć. Przy tych słowach dobył miecza z pochwy i rzucił się na przeciwnika.

Otto bronił się dzielnie; ale nie dorósł do walecznego Gintera; jeden tylko silny cios z ręki ostatniego, a broń przeciwnika leżała na ziemi, on sam został przy życiu wspaniałomyślności zwycięzcy. Kto wie, jaki los chciał Ginter przygotować bezwstydnikowi, ale nagle odmieniła się scena. Pojedynek nie mógł zostać w zamku nie zauważonym, nikt też inny, tylko sam Staufen przybiegł z swymi pacholkami w pomoc ulubieńcowi. Cały tłum rzucił się nagle na Gintera. Dzielnie



stawił napadnięty opór swym prześladowcom; ale po dłuższym czasie wynik walki nie podlegał już wątpliwości — wiele psów to śmierć zajęcia — Ginter mieczem wybił sobie drogę wśród zgrai pachołków, wskoczył na swego konia i w wyciągniętym galopie wpadł na zwodzony most zamku, a ztamtąd w sąsiednią puszcę; — został uratowany.

— Na koń! na koń! — krzyczał Hans Staufenberg, widząc jak udała się ucieczka Ginterowi z Szwarcenau. Naturalnie cała zgraja dosiadła w mgnieniu oka najdzielniejszych koni. Hans Staufen i Otto Lobenstein rzucili się także na siodło i w towarzystwie swych ludzi popędzili w pogoń za Ginterem. Ale choć tak błyskawicznie ścigali walecznego rycerza, nigdzie śladu jego nawet znaleźć w żaden sposób nie mogli i po dwugodziennej, bezowocnej pogoni powrócili nazat do Staufenbergu zmęczeni i wysileni. Przedmiot ich zemsty przepadł jak kamień w wodę obu rycerzom Hansowi ze Staufenbergu i Ottonowi z Lobensteinu. Tymbardziej więc zwrócił się ich gniew przeciw kochance Gintera, szlachetnej Matyldzie.

Ojciec, w towarzystwie swego wymarzonego zięcia przyszłego tj. Ottona, udał się natychmiast do pokojów córki, do których

ta schroniła się zaraz po krwawem zajściu, i począł w ile możności najdelikatniejszym tonie: Matyldo, znalazłaś sobie znakomitego nauczyciela miłości, ale ja zapomnę o wszystkim, gdyż spodziewam się, że wiesz, co winna córka swemu rodzonemu ojcu!

— Tak jest, mój ojcze, odrzekła młoda dziewczica w sposób najbardziej przystojny, winnam ci miłość, cześć i posłuszeństwo i nie sądzę, abym kiedykolwiek wykroczyła przeciwko tym obowiązkom.

Bardzo dobrze odpowiedziała Matyldo, dodał zaraz rycerz Hans ze Staufen, i w imię tego zapominam o wszystkim, co zaszło. Również to samo uczyni mój ukochany przyjaciel, Otto z Lobensteinu i całe zajście twoje z rycerzem Ginterem z Szwarcenau niech idzie w przepaść zapomnienia. Dlatego zapowiadam ci naprzód, abyś się nie wahała już dłużej z podaniem ręki Ottonowi! Głos jego był w tem miejscu tak energiczny i pewny, że nie można było dłużej wątpić o niewzruszonej jego woli. Napróżno były wszelkie błagania Matyldy, napróżno rzuciła się do nóg nielitościwemu ojcu, prosząc o litość i poszanowanie jej osoby. Ojciec tylko rozwiścieklił się teraz na dobre, gdy dotąd gniew



swój ukrywał. Niegodna hetero, zawołał z wybuchem największego gniewu. Ostatnie słowo: Czy chcesz być posłuszną: Tak lub nie?

Nie, odrzekła córka także stanowczym tonem, podnosząc się szybko i przyjmując postawę godną swej samowiedzy i silnej woli, nigdy nie oddam ręki człowiekowi, którego z głębi duszy nienawidzę i gardzę nim, jak padliną.

Po słowach miał zaraz nastąpić czyn. Hans z Staufen tupnął z taką wściekłością w posadzkę że aż się mury zamkowe zatrzęsły. Następnie wyparł drzwi i zawołał wójta zamkowego z swymi pachołkami.

Bierz oto tę metrese, zawołał do jednego z ludzi, i wrzuc ją do najgłębszego zamkowego podziemia. Ha, łajdaki, zawołał chwytając za miecz, gdy służba oglądając się na siebie ani myślała wykonywać dziwno-dziwnego rozkazu — ha, czy nie słyszeliście?! W najgłębszej bodaj czeluści niech gnije wśród węzów i jaszczurek o chlebie i wodzie, niech gnije tak długo dopóki życia w niej stanie. Naprzód! kto się będzie ociągał temu pierś mieczem przebiję.

Ludzie znaleźli się w krytycznym położeniu, chcąc jednak przynajmniej własne ra-

tować życie, skłaniali się do rozkazu. Już wyciągnęli ręce po nieszczęśliwą — gdy w tem nagle piorun uderzył w szczyt wież zamkowych z taką niepojętą siłą, że cały zamek wyraźnie zachwiał się w swych posadach, a obecni onieprzytomnieli. Wyższa siła objawiła się w tem zjawisku.

Teraz nastąpiła rozkoszna symfonia niebieska, jasny geniusz z lutnią w ręku unosił się w powietrzu i w miłej melodii śpiewał pieśń miłości:

Bądź odważną dziewczę drogie,  
Zostań wierną kochanemu;  
A miną cię burze srogie,  
Wejdiesz wraz z nim do Edenu.

Niebieskie to zjawisko sprawiło, że Matyllda ani czuła nawet, jak wydostała się z domu.

Rycerz ze Staufen i szlachcic z Lobensteinu równocześnie oślepli; ten powtarzał z wściekłością rozkaz porwania dziewczęcia, tamten mieczem wywijał w powietrzu. Nagle przewidzieli, a tymczasem przedmiot ich zemsty zginął z przed oczu. — Niewierzyli i nie przypuszczali nawet, aby w wypadku tym działała jakaś wyższa siła, ale byli pewni, że Matyllda uciekła zwykłą drogą. Lobenstein chciał ją przyprowadzić nazad, pobię!



na dół po schodach, o mało karku nie skręciwszy. Prawie z równą szybkością podążył za nim sam pan zamku z całą zgrają pacholców. Ale właśnie w chwili, kiedy Hans Staufen zajęty był umieszczaniem ludzi po stanowiskach, by zbieg nie mógł się wycofać, stanęła przed nim stara pielgrzymka, ta sama, z którą niegdyś tak długo rozmawiał szlachetny rycerz Ginter z Szwarcebau. To nagłe zjawienie się staruchy dziwne i silne wywarło na Staufenbergu wrażenie.

Rycerzu z Staufenbergu, mówiło zjawisko, jakżesz biednym jesteś pomimo tylu twych bogactw: własną swą córkę, własne z krwi twojej dziecię, wyścigałeś z domu i teraz polujesz nań, jak na dzikiego zwierza! Mowa ta nie spodobała się dumnemu rycerzowi; dobył oręża i rzucił się na pielgrzymkę, aby ją porządnie za śmiałość naznaczyć; ale ona podniosła w tej chwili swą długą laskę, i o dziwo, jak niegdyś laska Mojrzesza przemieniła się w węża, tak teraz laska staruszki przemieniła się w olbrzymi ogień, o wyraźnych w pośród niego głoskach: Agnieszka z Boodsheimu.

Agnieszka z Boodsheimu, powtarzał przerażony Staufen i usta drgały mu jak w febrze, a oczy słupem stanęły. Agnieszka z

Boodsheimu, Agnieszka z Boodsheimu! Odgłos tych słów ścigał go, jak dzikie furye i trawił ogniem sumienie. Przerażony do najwyższego stopnia, schował gwałtownie miecz do swej pochwy i począł uciekać.

---

#### ROZDZIAŁ IV.

Z jakiegoż powodu imię to, tak przerażyło Staufenberga? zapyta najśluszniej każdy z czytelników. Jesteśmy gotowi dać należyte wyjaśnienie. Kilka godzin od Staufenbergu leżał zamek rycerza z Boodsheimu. I jemu także, podobnie jak Staufenbergowi nie więcej nie pozostało z lubego małżeństwa, tylko jedna córka, Agnieszka, i ją też kochał jako swą łatorośl. Na niej budował całą nadzieję przyszłości i w niej tylko widział swą cześć i dumę rodową.

Z miłości wielkiej nie mógł jej niczego odmówić i przyzwolił jej na odwiedzenie serdecznej przyjaciółki w Wiedniu. Tymczasem upływały tygodnie za tygodniami, a córka wcale nie wracała. Nie miał nic przeciwko temu, bo czyż mógł jej zakazać chwili uciechy, jakiej nie mógł dać sam w starożytnym zamku. Wreszcie wróciła i jakżesz ser-



ce ojcowskie zabiło ku niej radośnie! Ale jakżeż wielce ujrzał swą córkę zmienioną! Odjechała jak róża kwitnąca, tryskająca zdrowiem i życiem; przybyła blada i zmęczona, ze łzami w czystych przedtem oczach, a z piersią pełną boleści jęków i westchnień. Co ci jest droga córko? zapytywał ojciec po setne razy, a zawsze otrzymał tylko łez strumień w odpowiedzi. Trzeciego dnia po jej przybyciu stał się wielki hałas w cichym dołdą zamku. Z załamaniem z rozpaczy rękoma przybiegła do ojca Agnieszki jedna z powiernie ukochanej jego córki, wołając wśród łkania, krzyku, i boleści bez granic: O panie, panie! córka twoja już kończy! — Można sobie wyobrazić przerażenie ojca! Zastał córkę w strasznym stanie rzucającą się na obie strony, z ustami pełnymi piany, z okiem na pół przymglonem. Teraz więc odsłoniła się tajemnica. Miała jeszcze tyle sił wyjawić ojcu, że we Wiedniu poznała młodego rycerza, któremu tak zawierzyła silnie, że mu czystość i cnotę swą złożyła w ofierze, gdyż przysięgał, że się z nią ożeni; a tymczasem zasłyszała teraz, że uwodziciel jej stara się o rękę Matyldy ze Staufen! Wskutek tej przedwczesnej ofiary z swej gorącej miłości, została matką. Dłużej nie mogą żyć w tym

wielkim wstydzie — mówiła z płaczem swemu ojcu — przebacz ojeze niegodnej córce... przebacz i pobłogosław mi na wieczną wędrówkę, bo ginę z zażytej trucizny. Ojeze, przebaczenia! To były jej ostatnie słowa. Nowy kurecz począł szarpać jej biednem ciałem — oczy jej zamknęły się na wieki!

Długi czas była cisza głucha i można było sądzić, że i stary rycerz odbiegł w lepsze podbłękitne kraje, tak był martwym i jakoby bez życia. Nagle jednak zerwał się i zawołał. "Powiedz mi, powiedz imię tego uwodziciela. Córko moja, zbudź się jeszcze choć na minutkę i powiedz mi to przekłete nazwisko!" Rzucił się na ziemię zwątpiały. Klął i modlił się na przemiany. Używał najśłodzych słów zaklęcia, by zbudzić swe drogie dziecko, ale daremnie. Ożywiający ją duch uleciał w lepsze krainy. Hrabiemu wszystko na tem zależało, aby dowiedział się, kim był ten podły uwodziciel, który córce grób podwójny zgotował. Punkt wyjścia znalazł się łatwo; córka jego nazwała imię Matyldy ze Staufen.

Czytelnik wie jednak o tem, że Matylda dwóch miała adoratorów; któryż z nich zbezczeszczył Agnieszkę? Czy Otto, czy Ginter? Pierwszy, jak wiemy był gotów do wszyst-



kiego — ale nawet najszlachetniejszy nie jest bez błędu, czyż więc i Ginter nie mógł się w chwili szalu zapomnieć? Widzimy z tego, jak trudno było ojcu Agnieszki wynaleść prawdziwego przestępcę! Ale niespodziewanie zabłysła mu nowa myśl w głowie, do spełnienia której z prawdziwą zabrał się radością.

Pierwsze było, że salę swą rycerską kazał czarnemi obwieść chustami. Następnie rozkazał w środku sali wystawić katafalk, a na nim czarną, kirem krytą trumnę.

Potem złożono zwłoki Agnieszki, czarnym płaszczem owinięte do trumny i postawiono naokoło jasno palące się świece woskowe, które wybladłą twarz zmarłej ponuro oświecały. Nakoniec został wysłany burgrabia, aby obydwóch rycerzy do zamku zaprosił.

Miano ich następnie przed zmarłą nagle zaprowadzić a z wrażenia, które na nich niespodziewany widok zwłok wyrze, miał rycerz dalsze powziąć postanowienie.

Rycerz Otto, otrzymawszy zaproszenie, przeląkł się widocznie, prędko jednak ukrył zmieszanie i przyrzekł przybyć.

Inaczej rzecz się miała z Ginterem z Szwarzenau; spokojnie z początku słuchał

burgrabiego w końcu jednak nie mógł ukryć pewnego zadziwienia. To wygląda — myślał potrząsając głową, więcej na wezwanie niż zaproszenie, a do czegoś podobnego twój pan, który mi prawie zupełnie jest obcym, nie ma żadnego prawa. Uczyniłbym zresztą zadość zaproszeniu, gdyby mię dzisiejszej nocy ważniejszy nie powoływał obowiązek — a obowiązek ten jest takiego rodzaju, że od niego zawisło nie tylko szczęście mojego własnego życia, ale i zbawienie wielu dusz, które inaczej na wieki będą potępione. Wyraż więc twojemu panu mą żalność z powodu, że nie mogę jego prośbie zadość uczynić.

To musiało rzeczywiście panu na Boodsheimie dawać pewne podejrzenie, aby rycerza z Szwarzenau uznać winnym. Z uderzeniem godziny szóstej przyjechał rycerz Lobenstein do zamku Boodsheim, gdzie został właścicielowi zamku przedstawiony, który go następnie przed zwłoki zaprowadził. Dreszcz zimny przeszedł go na ten widok, zęby dzwonić poczęły, ale jako mistrz w sztuce udawania, zebrał prędko przytomność umysłu i wyjawiał ojcu swoje współzucie spowodowane utratą córki.

Moja córka — rzekł tenże — obserwując go uważnym wzrokiem, została zamordo-



waną przez jakiegoś nędznika; czy nie macie przecucia, ktoby nim mógł być?

Lobenstein nie drgnął ani jednym muskułem, zdawał się być głęboko zamyślnym; nakoniec rzekł: przypominam sobie co słyszałem przed niedawnym czasem, iż córka pańska miała w Wiedniu z jakimś młodym rycerzem czuły stosunek; jeśli się nie mylę z Ginterem Szwarce nau.

O moje przecucie, zawołał pan z Boodsheimu w najwyższym wzruszeniu, upadł potem obok katafalka swej córki na kolana i złożył ręce na piersiach. Panie Boże, który jesteś w niebie, dziękuję Ci — modlił się głośno prawie wesołym głosem — morderca mojej córki znalazł się, będzie też krwawo pomoszonym.

Kilka minut później odjeżdżał rycerz Lobenstein z zamku Boodsheim, a gdy go już miał po za sobą, począł z djabelskim uśmiechem ręce zacierać. No, młody błaznie, szepnęła półgłosem, za twoją przyczyną się to stało, bo pan z Boodsheimu krótką z tobą będzie miał rozprawę!

W tym samym czasie, kiedy Lobenstein ciągnął swój monolog, rozmawiał coś dłużej pan na Boodsheimie z swoim burgrabią i z największym zapalem dawał mu jakieś

rozkazy do wykonania. Słyszał, powtarzał mu kończąc, “wybierz sobie dwunastu najodważniejszych z moich rycerzy, aby go tem łatwiej ująć; ale pamiętaj, nie chcę go mieć trupem ale żywego, bo chcę na nim ugasić mą zemstę w taki okrutny sposób, aby jeszcze po setkach lat o tem wspominalo!”

---

## ROZDZIAŁ V.

Ciemna czarna noc, w której osłonie za ledwie można było dostrzedz rękę trzymaną przed oczami, zapuściła swoje cienie owej soboty, kiedy powyżej już opisana scena miała miejsce. Na Wiedeńskiej Górze ponura zalegała cisza, tylko kiedy niekiedy doleciał z dala głos ptaka, który jeszcze o późnej nocnej godzinie szukał zdobyczy. Już z zapadającym wieczorem wstąpił Ginter z Szwarce nau do gospody na Wiedeńskiej Górze. Wyższy obowiązek o którym wspominał burgrabiemu z Boodsheimu, powołał go, chciał tej nocy dopełnić przyrzeczenia, które owego wieczora dał pielgrzymującej staruszce. Kiedy sądził, że czas działania już nadszedł, prosił jednego z pacholków gospodarza, aby mu wskazał drogę do djabelskiego młyna. Nie



prędko jednak tenże przyjął to wezwanie, wypowiadając swą decydującą obawę, towarzyszenia rycerzowi na tej niebezpiecznej wyprawie; tak samo postąpił drugi i trzeci, co widząc w końcu sam gospodarz zobowiązał się powodowany względami grzeczności dla gościa, poprowadzić rycerza. Właśnie dybała dziesiąta godzina na pociemniałym od starości i dymu zegarze, który na jednej ze ścian gospody wisiał, gdy wyruszyli w drogę. Gospodarz postępował tuż obok rycerza opatrzonej małą latarką, która swe światło rozlewa wśród ciemnej nocy.

Z początku szło wszystko dobrze; wprawdzie przewodnik przystawał co chwila i pilnie nadśluchiwał, czy wśród ciemnej nocy czego nie usłyszy, bo w tym lesie strach go przejmował. Nareszcie wyszli z gęstwiny na obszerną leśną polankę; już zamierzali przez nią przejść, gdy nagle olbrzym jakiś wystąpił z poza drzewa i swoim sękatym kijem tamował im drogę. Co do gospodarza powiodło mu się; ze strachu i trwogi upadł tenże bowiem pół nieżywy na ziemię. Nie tak się jednak stało z rycerzem, ten wyciągnął szybko swój szeroki miecz z pochwy i gdy olbrzym zamierzył się nań swą pałką, wymierzył tak zręcznie cięcie, że ją na dwie roztrzaskał czę-

ści. Natychmiast zniknął olbrzym wśród przeraźliwych krzyków i droga była znów wolną. Gdy się jednak rycerz za swoim przewodnikiem rozejrzał, nie mógł go nigdzie naokół zobaczyć, tylko z wielkiej odległości widać było jeszcze światło chwycającej się latarni — okazało się więc, że gospodarz korzystając z walki olbrzymem, uciekł jak mógł najprędzej z miejsca niebezpieczeństwa, co mu nawet za złe wziąć nie można, bo do walki z duchami trzeba mieć właściwą sobie odwagę. Pozostał więc rycerz sam na łasce losu, zmuszony kierować się własną roztropnością i siłą. Postępował jednak śmiało naprzód mieczem torował sobie drogę przez gęstwinę, ufając szczerze przepowiedni starej, że wszystko będzie dobrze.

W prostym kierunku szedł dalej; taką tylko bowiem drogą postępując, mógł natrafić na strumień, który wprawiał koła w zaklętym młynie w ruch, a gdy dotrze tak daleko, to już wówczas cel swój musi osiągnąć.

Szczęśliwie niosły go kroki nad brzeg górskiego potoku, przyspieszał ich ile możliwości, albowiem zbliżała się już godzina północna która tak rozstrzygającą być miała. Dotychczas panowała głęboka cisza; teraz dopiero począł wiać gwałtowny wicher i wy-



jąc wstrząsał leśnych drzew wierzchołkami. Gdy na kilka chwil uciszył się, słychać było wyraźnie ów charakterystyczny łoskot, który wydaje młyn w pełnym ruchu się znajdujący. Głośniejszą jednak nad huk młyna, dawały się słyszeć głośne okrzyki biesiadującego towarzystwa, które skutkiem hojnie używanych napojów w nadzwyczaj wesołym znajdowały się stanie. Co to jest? szeptał młody rycerz wyteżając wzrok i pilnie nad słuchując. Mówiono mi przecież, że młyn już przeszło od trzydziestu lat w nieczynnym znajduje się stanie i naokoło w kilku godzinnym promieniu drogi nie można napotkać żyjącej istoty. A może to jest — co słyszę — uczyniony wrzask przez duchy w zamiarze przestraszenia mnie? Ale nie był on człowiekiem, dającym się łatwo uwieść. Bez odpoczynku dążył naprzód i właśnie, wyszedł z lasu na obszerniejsze miejsce, strumień światła uderzył go w oczy, djabelski młyn stał przed nim! Ale czyż to był rzeczywiście ów młyn zaklęty? Według powszechnego mniemania był on pusty i opuszczony, podczas gdy w tym budynku wesołe odzywały się życie a setki świec rozsyłały swe światło wśród ciemności lasu. A uwijało się przy-

tem mnóstwo parobków, służących, młynarczyków i innych tego rodzaju pomocników!

Tu sypał jeden do młyna tam, zbierał drugi spadającą mąkę do worka, a trzeci znowu układał napełnione worki w jednym miejscu. W kuchni trzaskał jasny i wesoły ogień a z piwnic noszono pełnymi dzbanami wino, aby niem spragnione gardła biesiadujących odwilżyć! A jakie z ust tego towarzystwa wybiegały przytem śmiechy, przekleństwa i przeplatane nimi dzikie śpiewy! Zaisiste! była to scena nie do opisania i mimo woli wstrzymał młody rycerz znów swoje kroki, aby się temu widowisku lepiej przypatrzeć. Nie długo trwało to jednak, wkrótce został sam do wesołego wciągnięty grona; tajemnicze postacie zaprosiły go do wzięcia udziału w ich uczcie z złośliwymi uśmiechami, a krzyjące ptaki nocne, które w dzikim locie krążyły około świateł, dodawały temu obrazowi nocnemu więcej ponurego jeszcze uroku. Wprawdzie nie mógł się nasz młody bohater opędnąć pewnemu uczuciu trwogi, ale wkrótce zacierpnawszy ducha, wezwał głośno Imię Boga w trzech osobach i postąpił naprzód bez użycia broni przez gromadę djabelskich postaci, zmierzając ku schodom,



które niezawodnie do głównej mieszkalnej w młynie prowadziły izby.

Cóż to za straszliwe towarzystwo przedstawiło się tu jego oczom! Były to niezawodnie duchy członków owej krwawej, zbójeckiej bandy, która niegdyś pod dowództwem rycerza Kiliana napadła na podróżnych po okolicznych drogach a teraz dla odpokutowania za swe o pomstę do nieba wołające występki, co noc opuszczała przepaść piekielną i tu dalszy ciąg swego poprzedniego życia święciła. Kilku z uczujących rzuciło się ku niemu, aby go do swojego stołu pociągnąć, ale sam widok rękojeści miecza w kształcie krzyża zrobionej zatrzymał nieczystych duchów na miejscu. Następnie, podniósłszy w górę miecz zawołał głośno: Na święty znak krzyża naszego Zbawiciela zaklinam was czartowskie postacie! Znikajcie natychmiast — wróćcie na łono piekła, z któregoście wyszły, a które jest godnem dla was mieszkaniem!

Święte jakieś natchnienie musiało mu podyktować te słowa, gdyż sprawiły one nadzwyczajny skutek.

Jasna błyskawica przeleciała przez izbę nagle a wkrótce po niej dał się słyszeć przeciągły odgłos grzmotu, co całego domu

wstrząsnął posadami. Potem rozległ się jęk potępionych dusz, przechodzący mrowiem przez kości a jękowi temu towarzyszył silny podmuch wichru, pod którego parciem rycerz Ginter zaledwie na nogach utrzymać się był w stanie. Równocześnie jednak ustał łoskot kół młyńskich zaległa tak ponura cisza, że się prawie nie pojęta być wydawała. Po nad tem wszystkim zapanowała zupełna ciemność, niepozwalająca najbliższych rozróżnić przedmiotów, albowiem ze zniknięciem nocnych upiorów, zagasły zarazem i światła i młyn znajdował się teraz w prawdziwym swym stanie — śmierci. Ale tylko na chwilę. Albowiem jak wśród ciepłej nocy letniej lekki podmóch wiatru zaszeleści gałązkami drzew, albo zabrzmiał cichy ton harfy Eola, gdy o jej struny wiatr uderzy, tak zaszumiała teraz wśród nocej ciszy unosząca się między drzewami postać mglista, która stawała się coraz jaśniejszą i wyraźniejszą a w końcu przybrała kształt niewieściej postaci i stanęła przed rycerzem w powietrzu.

Rycerzu, — rzekło widziadło — mam wielkie względem ciebie poszanowanie, wywiązałeś się bowiem z słowa, jak prawemu mężowi przystoi. Dla tego wiedz, ja jestem ową pielgrzymującą staruszką, która mówi-



ła z tobą w gospodzie na Górze Wiedeńskiej, i teraz jestem gotową odkryć ci tajemniczą zasłonę, która moją przeszłość pokrywa. Z szlacheckiej krwi jestem zrodzona i wspinałe i dumne było też moje zachowanie się podczas mojego życia na ziemi a wdzięków moich z niezem porównać nie można było. Taką ujrzał mię po raz pierwszy rycerz Kilian z Drachenfelsu; ostrzegano mię wprawdzie ze wszystkich stron przed tym związkiem; ale ja byłam jego zewnętrzną postacią olśniona, podałam mu rękę przed ołtarzem i zawyrokowałam tym sposobem o moim przyszłym, nieszczęśliwym losie. Zapóźno — niestety — ujrzałam niegodziwca w prawdziwym świetle — był on zwyczajnym, niecnym pijanicą, który całe dni i noce na hulałtykach przepędzał. Wkrótce okazał się namiętnym graczem i cały mój posag ofiarował zmiennej bogini Fortunie w hazardzie. Ale to nie było jeszcze najgorszem; niezadługo stanął na czele złodziejskiej, morderczej bandy opryszków, która młyn na Górze Wiedeńskiej za swe schronisko obrała. Każdy dzień przynosił nową zbrodnię, każda noc nowe morderstwo. Tysiączne występki wołały o pomstę do nieba, pozostały jednak nieukarane, bo piekło, z którym mój bezbożny małżo-

nek zawarł przymierze, udzielało złoczyńcom opieki. Ja sama musiałam w ciężkiej samotności trawić żałośnie me życie w opuszczonym zamku na Drachenfelsie. Ciężką odpowiedzialność ściągnęłam jednak na siebie, mileząc na te wszystkie okropności a uczyniłam to jedynie dlatego, że nie mogłam przezwyciężyć uczucia żalu, aby swojego własnego męża, ojca mego jedynego dziecięcia, które mu urodziłam — wydać na rusztowanie. Wprawdzie nieraz wymykałam się z domu, widząc przejeżdżających podróżnych, aby ich ostrzedz o grożącym niebezpieczeństwie i tym sposobem nie jednego dziecka ratunku dokonałam, ale czyż mogłam przez to przebłagać obrażonego Boga! Tak to dowiedziałam się wówczas, że szlachcie z Senftenbergu miał drogą około naszego zamku przejeżdżać.

Był on z moją rodziną spokrewniony, musiałam zatem za jakakolwiek bądź cenę go uratować. Podeszłam tedy cicho przebrana za służącą do młyna i tu udało mi się zbliżyć do hrabiego i uwiadomić go o niebezpieczeństwie. Ostrzeżony zbladł i zląkł się niezmiernie w kilka chwil był gotów pójść za mną. Ucieczka jego mogła tylko przyjść do skutku przez podziemny korytarz, który za



wielką skałą niedaleko od drogi znowu wychodził na powierzchnię ziemi. Szalony ten zamiar nie mógł się odbyć jednak bez pewnego ruchu i przygotowania, które na nieszczęście zauważono. Poczęto nas przeto ścigać i zanim zdołaliśmy dotrzeć do wyjścia pochwyciono nas i napowrót przywleczono do zamku. Położenie nasze było okropne. Hrabiego wtrącono natychmiast do podziemnego więzienia, gdzie został zamordowany; mnie zaś odecięto najpierw rękę prawą — za karę mojej zdrady — jak mówiono, potem lewą, następnie nos i uszy i palce u nóg. Pchnięcie sztyletem położyło wreszcie koniec moim straszliwym mękom a ciało moje wrzucono do ogromnego podziemia, które się pod ową skałą znajduje. Rycerz zdrętwiał ze strachu, słysząc o tylu mordach Kiliana. Przyszedł nareszcie do słowa i zapytał się: Duszo nieszczęśliwa, powiedz mi, co dla ciebie mogę uczynić?

Tylko pod trzema warunkami, ciągnął duch dalej, mogę uzyskać mój wieczny spokój i zbawienie; pierwszym jest, aby niegodny syn z mego małżeństwa z Kilianem z Drachenfelsu zeszedł przez sąd boży z tego świata, bo wieczna sprawiedliwość da się tylko tem przebłagać, aby cały ród Drachenfelsów

ustawicznie brodzący w grzechach — uległ zagładzie. Człowieka tego znajdziesz niedaleko siebie, bo jakkolwiek odrzucił imię Drachenfelsów, to ukrywa się pod przybranem nazwiskiem Lobensteina.

Czy chcesz z nim tedy walczyć na życie i śmierć?

Chcę — zawołał Ginter — stanowczo, uderzając o rękojęść miecza.

Duch zdawał się być tem przyrzeczeniem zadowolony i ciągnął dalej: drugim warunkiem jest, aby Kilian hrabia z Drachenfelsu z dotychczasowego swego więzienia został wyprowadzony, aby...

Co? przerwał nie posiadając się z zadziwienia Ginter. Okrutnik Kilian Drachenfels, ten krwawy morderca, żyje jeszcze?

Tak jest, odpowiedział duch; ostatnie zbrodnie zdawały się memu tak zatwardzialemu w grzechach mężowi, ciężyć na sumieniu, że obawiając się mściwego ramienia sprawiedliwości, uciekł w obce kraje i tam żył pod obcym nazwiskiem; nazwisko to było rycerza z Lobensteinu. Owoc naszego małżeństwa, godny naśladowca swego ojca, towarzyszył mu w obczyźnie. Dorósłszy lat młodzieńczych, gdy dowiedział się o tajemnicy ojca, nie odpoczął wcześniej, aż ojciec po-



wrócił z nim do zaklętego młyna, aby wydo-  
stać nagromadzone tamże skarby; syn nale-  
gał, aby go ojciec wziął ze sobą do podziemia,  
tenże jednak opierał się temu, chcąc być sam  
wyłącznym panem tajemnicy.

Ztąd powstała między nimi gwałtowna  
sprzeczka i już miało przyjść do krwawego  
starcia, gdy nagle syn uderzony jakąś myślą  
wbrew własnemu przekonaniu i zwyczajowi  
ustąpił i pozwolił samemu ojeu iść. Nie z sy-  
nowskiego posłuszeństwa lub skromności, u-  
czynił on tak, ale raczej z nienawiści, albo-  
wiem szatański zamiar zaświtał mu w głowie  
a mianowicie, aby ojca swego przemocą opa-  
nować i tak długo w skrytem trzymać wię-  
zieniu, dopóki cały skarb do rąk mu się nie  
dostanie. Pomyślał, wykonał — porozumiaw-  
szy się z drugim złoczyńcą, oczekiwał powro-  
tu ojca, napadł wtedy na niego, obrabował  
ze wszystkich skarbów a okuwszy go w kaj-  
dany, wtrącił do poprzednio wyszukanego  
podziemnego więzienia, gdzie już od dwu-  
dziestu lat jęczy. Gdy tajemnica jego nie zo-  
stanie odsłoniętą, nie będę miała spokoju.  
Czy chcesz ją odsłonić?

Chcę! — zawołał Ginter silnym głosem,  
ale jakim sposobem znajdę owo więzienie?

Znasz przecie starego pustelnika w lesie  
niedaleko zapadłej kaplicy. Oto on jest w tę  
sprawę wtajemniczony, on pokarze ci owo  
miejsce! Teraz jeszcze wysłuchaj trzeciego  
i ostatniego warunku. — Uwolniony rycerz  
Kilian z Drachenfelsu nie omieszka ci jak  
najprędzej poradzić, jak ową, wielką skałę  
na końcu podziemnego chodnika trzeba po-  
ruszyć, aby do podziemia się dostać. Skoro  
jednak będziesz tylko w stanie wniknąć do o-  
wych tajemnych sklepów, nie mogą dłużej  
na tem niepoświęconem miejscu moje i in-  
nych zamordowanych osób kości pozostać,  
ale muszą być pobłogosławione ręką kapłana  
i we właściwym, świętem pochowane miejscu  
wiecznego spoczynku. Mój małżonek sam  
będzie gorzko swoje minione życie żałować  
i jeszcze przed śmiercią prosić, aby mógł  
przy moim spocząć boku a wtedy najważniej-  
sze dzieło zbawienia dokonaniem zostanie.

Coraz jaśniejszą stawała się postać du-  
cha, jasne promienie wychodząc zeń rozpra-  
szały ciemności nocy. Ginter upadł zaś w u-  
niesieniu na ziemię a podniósłszy do góry  
miecz, przysięgł uroczyście nie odpocząć, do-  
póki wybawienie ducha wykonaniem nie  
będzie.



Prędko, jak powstał, począł i niknąć duch świetlany, coraz niewyraźniejszymi stawały się jego kształty, dało się słyszeć echo cichej a miłej muzyki, przy której dźwiękach rozplynęła się mara w mgłę lekką, którą podmuch uniósł po nad drzew wierzchołki. Jeszcze raz zajaśniała niewyraźnym promieniem w oddali i po za najbliższem drzewem znikła.

---

## ROZDZIAŁ VI.

Ciężka, może najcięższa w całym życiu Gintera noc dlań przeminęła. Gdy ujrzał się na najbliższej wyniosłości wśród lasu, słońce było już wysoko na niebie a jemu zdawało się jakoby długiego, bardzo długiego snu obudził. Tu napotkał swojego pozostawionego rumaka, który na widok pana zarżał radośnie, — wszystko jednak było ciche i spokojne i ani najmniejszy ślad nie zdradzał straszliwych scen, które tam minionej nocy miały miejsce.

Dosiadł coprędzej konia i zwrócił się ku gospodarzowi na Górze Wiedeńskiej, aby tam pewnego nabrać przekonania, że się jeszcze pomiędzy żyjącymi znajduje i powziąć po-

trzebne wiadomości, celem wyzwania rycerza Ottona przed sąd boży. I tak głęboko pograżył się w myślach, że wcale nie zauważył, jak oddział uzbrojonych ludzi wyraźnie ku niemu zmierzał, w celu ujęcia go. Już tuż byli mu za piętami i— Ginterze Szwarzenau, poddaj się! rozległ się głos dowódcy oddziału — byłoby istnem szaleństwem bronić się!

Napad był tak nagły, niespodziewany i niewytłomaczony, że rycerz nasz utracił na chwilę przytomność umysłu, ale tylko na chwilę; prędko ubódł konia ostrogami, który skoczył na bok i tym sposobem stanął frontem do najeżdżających; zasłaniając się szerokim pniem drzewa, stawiał Ginter czoło najeźdźcom i bronił się jak lew. Już czterech jego przeciwników tarzało się we własnej krwi i kto wie na czyją stronę przechyliłoby się zwycięstwo, gdyby walka prowadzoną była dalej szlachetnym, rycerskim sposobem, ałe dowódca nacierających zszedł niepostrzeżenie z konia a obszedłszy pomiędzy drzewa, stanął zniemacka za plecami Gintera i zarzucił mu w tym celu przygotowaną pętlicę na głowę. Zaledwie ta umocowała się na szyi, pociągnął ją ze wszystkich sił ku sobie i rzeczywiście udało mu się rycerza zrzucić na ziemię z konia. Teraz rzucili się hajducy ra-



zem na bezbronno, na ziemi leżącego rycerza w jednej chwili skępowali mu ręce i nogi. — Następnie przyprowadzono dwa konie i położono na nie rycerza w więzach, aby go w takim stanie dostawić na zamek. Czytelnik domyśli się już zapewne, że ludzie ci byli wysłani z rozkazu starego hrabiego z Boodsheimu, a jak widzimy, dobrze się ze swego polecenia wywiązali. W kilku godzinach dotarli do zamku; tutaj więźnia uwolniono z więzów i zaprowadzono przed pana zamku; w jakim stanie umysłu znajdował się tenże, zbytecznym byłoby się rozwodzić; takie zelźliwe postępowanie jeszcze mu się nigdy nie przytrafiło.

Gdy wstąpił do pokoju pana zamku, wstał tenże natychmiast, postąpił kilka kroków naprzeciw niemu i pozostał w pewnym oddaleniu, mierząc go błyszcącym, dzikiem wejrzeniem od stóp do głowy; tu udało mi się nareszcie, rzekł głosem tchnącym niepohamowanym gniewem — największego łotra i złoczyńcę Austriackiego Państwa do własnych rąk dostać!

Ginter drgnął i wyprostował się. Miarkuj się Panie Rycerzu i bądź nieco ostrożniejszy w swoich wyrażeniach — rzekł śląc staremu z błyszczących źrenic ogniste spoj-

zenia; nie miałem w mem życiu całem zaszczytu znać pana, lub do jego rodziny w jakimkolwiek znajdować się stosunku, a przeto obchodzenie się pańskie ze mną pozostaje mi w każdym razie nie wytłomaczone — a jeżeli jesteś człowiekiem honoru, to z mieczem w rękę dasz mi odpowiedź za swe słowa zelźliwe!

Zamiast odpowiedzi, pechnął starzec silnie drzwi do bocznej sali wiodące, a gdy się ukazał ponuro oświecony katafalk ze zwłokami otrutej Agnieszki, zwrócił swe przenikające spojrzenie na rycerza Gintera. 'Morderco — zawołał — poznajesz twoją ofiarę?'

Z wyraźnie malującym się wzruszeniem patrzył rycerz to na blade oblicze zmarłej, to na hrabiego Boodsheimu, ale nie znamionującego winę nie widać było w jego twarzy. Stary, biedny człowieku, rzekł pełnym współczucia głosem — ta nieżywa jest — jak się dorozumiewam — waszą córką, której jak pięknemu kwiatowi jakiś złoczyńca wczesnie przyspieszył zwiędnięcie! Jeżeli tak jest, to pojmuję waszą boleść i wzruszenie gwałtowne; jednak zupełnie jest niepojętem dla mnie, dla czego moją osobę trzymacie z tą zbrodnią w związku, zwłaszcza gdy córki Waszej nigdy nie znałem!



Czy widział kto tak zatwardziałego zło-  
czyńcę, nędznika i kłamcę? — grzmiał głos  
starca — ty uwodzicielu jej i morderco, nie  
znałeś jej wcale? Już ja znajdę drogę i śro-  
dek ku temu, by pomódz twjej słabej pamięci.  
Burgrabio! zawołał na tegoż — związać mi  
tego kłamliwego psa i wrzucić do najgłę-  
bszej z piwnic zamkowych! — Rozkaz został  
wykonany i nasz rycerz spokojnie i z podda-  
niem się uległ swemu losowi, dając się wrzu-  
cić do podziemnego lochu, gdzie go otoczyło  
niemiłe towarzystwo wstrętnych żab, szczu-  
rów i jaszczurek.

Z skrzypem zamknęły się za nim cięż-  
kie, żelazne drzwi i nieszczęśliwy więzień  
został od reszty świata odcięty, jakby żyw-  
cem pogrzebany i gdyby rzeczywiście świat-  
ła dziennego więcej nie miał oglądać, żaden  
z jego przyjaciół nie wiedziałby, co się z nim  
stało. A rzeczywiście znajdowali się ci z tej  
przyczyny w wielkim niepokoju. Uwiado-  
mieni o jego przedsięwzięciu, już nazajutrz  
rano, po owej straszliwej nocy, poczęli go  
szukać. Faust Kleeberg udał się do samego  
djabelskiego młyna i właśnie wracał w tej  
chwili. No — cóż nam za wieści o Ginterze  
przynosisz? zawołał nań Bodo, Wallberg i  
Trausnitz.

Ani najmniejszego śladu po nim nie od-  
kryłem — odpowiedział Faust zeskakując z  
konia i rzucając cugle właścicielowi gos-  
pody.

Teraz wszyscy poczęli rozwodzić swe  
żale, zgadzając się w tem mniemaniu, że zły  
duch z pewnością szlachetnemu rycerzowi  
ukręcił głowę zwłoki jego uniósł z sobą.

Jeżeli mówicie o rycerzu Ginterze  
Szwarcenau — odezwał się teraz jakiś głos  
po za nimi, to mogę wam dać odpowiedź, o  
której prawdziwości będziecie jak najmoc-  
niej przekonani. — Rycerze obrócili się zdumie-  
nieni i zobaczyli przed sobą wysokiego star-  
ca z długą srebrzystą brodą, otulonego w  
płaszcz zakonny. Wracam właśnie od niego,  
ciągnął starzec dalej albowiem przysłał mię  
do was z ważnem poleceniem.

Co? zawołali wszyscy.. Ginter żyje?  
Gdzieście go widzieli?? Kto jesteście star-  
cze?

Śluchajcie mię spokojnie i uważnie, mó-  
wił starzec głosem tak uroczystym, że wszy-  
scy zaraz zamilkli. Ginter Szwarcenau jest  
oskarżony na życie i śmierć, albowiem stary  
pan z zamku Boodsheim zarzuca mu winę u-  
prowadzenia swej córki przez kłamstwo i o-  
szastwo a następnie przyczynia się do jej na-  
głej a wczesnej śmierci.



To jest bezczelne kłamstwo, zawołał Kleeberg uniesiony gniewem, do takiego czynu nie byłoby szlachetne serce Gintera zdolne; wszyscy inni wypowiadali to samo zdanie, czem starzec zdawał się być ucieszony i zgadzał się sam z słowami rycerzy, mówiąc: Macie zupełną słuszność — nie rycerz Ginter popełnił tę zbrodnię, ale jego nieprzyjaciel, Otto Lobenstein. Ale Ginter znajdzie sobie zadosyć uczynienie; zawezwie on swego przeciwnika przed sąd Boży; czy jesteście gotowi nań zezwolić?

— Jesteśmy — zawołali obecni jednogłośnie. A ponieważ podówczas szambelanem świętego rzymsko-niemieckiego państwa był Jan z Staufenbergu i on przeto miał prawo naznaczania dnia i godzin sądu, postanowiono w tej sprawie wysłać do niego deputację, podczas gdy wielu rycerzy zobowiązało się pędzić do Lobensteinu, aby właścicielowi zamku przedłożyć wyzwanie na życie i śmierć.

A gdzie znajdziemy naszego przyjaciela Gintera, pytając zwróciło się kilku do starca, musimy z nim przecież o najbliższych warunkach pojedynku pomówić.

Nie troszczcie się o to, rzekł starzec, przyjaciel wasz stanie o oznaczonej godzinie w pełnej zbroi na miejscu spotkania!

Natychmiast więc okulbaczono konie i wkrótce rycerze rozjechali się na wszystkie strony, spełnić swoje polecenia. Z starcem jednakowoż stała się dziwna przemiana; jaśniejszą i coraz jaśniejszą stawała się jego postać, broda znikła a rysy twarzy stały się okrągłejsze i delikatniejsze. Czytelnicy nasi dorozumieli się niezawodnie, że pod postacią starca jakaś nadziemski ukrywała się osoba; i rzeczywiście był to duch zamordowanej Maryi Dranchenfel, nieszczęśliwej małżonki Kiliana.

Ale przenieśmy się choć myślą do pojmanego Gintera Szwarcenau. — Więzienie, do którego go wtrącono, było nadzwyczaj silnie obwarowane. Dziesięć stóp grube mury otaczały je i najmniejszy promień słońca dostać się nie mógł do wnętrza. Jedyne wejściem były ciężkie, żelazne drzwi, zaopatrzone dwoma silnymi zamkami. Podłoga czyli raczej gruba warstwa ziemi na spodzie więzienia się znajdująca była wilgotna i zimna, a różnorodne robactwo czołgało się po niej. Pomimo tego nie zauważono za stosowne rzucić więźniowi garstkę słomy na posłanie, a i równieź mało troszczono się o jego pożywienie. Dzbanek wody i kawał czarnego chleba postawiono mu w jednym kącie i więcej nie troszczono się wcale o niego. Ale ry-



cerz będąc świadom swej niewinności, znosił mężnie krytyczne swe położenie. Godzina upływała za godziną, a nie mógł przecież najmniejszego znaleźć powodu, dla czego właśnie rycerz z Boodsheimu tak ciężkie rzucił na niego podejrzenie. — Wtem dał się słyszeć odgłos kroków na korytarzu, klucz obrócił się w zamku i ciężkie drzwi więzienia otworzyły się; ukazał się w nich burgrabia w towarzystwie pana zamku i pewnej liczby uzbrojonych ludzi — a ponure światło pochodni oświecało ciemności więzienia.

Przyznaj się, łotrze — krzyknął groźnie do więźnia pan z Boodsheimu — albo twoja ostatnia nadeszła godzina!

Ginter nie ma nic do przyznania się! — brzmiała odpowiedź.

Wtedy stary hrabia stał się niemal szalonym z wściekłości i rozkazał niezwłocznie swoim hajdukom więźnia bez najmniejszej zwłoki i miłosierdzia zabić, aby tem samym jego grzeszna dusza uleciała do piekła. Hajducy zamierzali się już wykonać rozkaz pana zamku, gdy wtem zagrzmiął tak silny odgłos piorunu, że wstrząsnął nimi od strachu; równocześnie z póciemienia wystąpił naprzód ów srebrnowłosy staruszek, któregośmy już w gospodzie na Górze Wiedeńskiej spotkali.

Rycerzu Boodsheim — rzekł poważny starzec — jakież szaleńczo owładnął twoim duchem? Niewinnego chcesz zamordować dla tego, że winny złożył nań fałszywie swą winę? Szlachetny Ginterze — rzekł potem, zwracając się ku niemu, ciężka była próba, na którą byłeś wystawiony. Przewyciężyłeś ją jednak szczęśliwie. Pójdź i towarzyszy mi do Staufenbergu. Swojego konia, zbroję, dzidę i miecz — wszystko znajdziesz tam dla siebie przygotowane, jak niemniej oczekują cię tam także wszyscy twoi przyjaciele. Teraz wywiążesz się ze swej przysięgi, walcząc z Ottonem Lobensteinem na śmierć lub życie! Natychmiast upadły zeń kajdany na ziemię i natchnionym zawołał głosem: Towarzyszę ci i jestem gotów mieczem wiecznej sprawiedliwości zadosyćuczynić! Jeszcze chwil kilka upłynęło a zniknął wraz z starcem, zostawiając ludzi z Boodsheimu zagrożonych w trwodze i podziwieniu.

## ROZDZIAŁ VII.

Pobiegnijmy i my na skrzydłach ducha do Staufenbergu. Niezwykły ruch i niezwykle przygotowania, na które tamże natrafimy, znamionowały, że jakieś nadzwyczajne zajścia nastąpić mają. Na środku zamkowego



dziedzińca zbudowano wysokie rusztowanie a naokół estrady dla widzów, wszystko czarnem suknem obite. Były to przygotowania do odbyć się mającego sądu bożego, który o winie lub niewinności rycerza Lobensteina miał zawyrokować. Mnóstwo szlachty i rycerzy z całej okolicy było nagromadzone w zamku, aby być naocznymi świadkami uroczystego widowiska, a z każdą godziną przyływało coraz więcej ludności. Obydwaj, do wielkiej walki mający wystąpić rycerze znajdowali się w odosobnionych budynkach i ostatnie chwile jeszcze obracali na korzyść dostatecznego przygotowania się do zaciętej walki. Słońce stało już w zenicie i wszystko było do rozpoczęcia pojedynku już gotowe; zegar na wieży zamkowej począł powoli, uroczystym dźwiękiem wydzwaniać dwunastą godzinę i zanim ostatni ton rozplynał się w powietrzu, otworzyło się główne wejście zamku, z którego wyszli przybrani czarnymi szarfami sędziowie walki z Janem Staufenbergiem jako przewodniczącym na czele i zajęli swe miejsca na przygotowanej dla widzów estradzie; dwunastu mistrzów ceremonii, że ich tak nazwiemy, z osłoniętymi czarną krepą kapelusami i długimi, czarnymi laskami w rękę, utrzymywało porządek. Teraz zagrzmiała ponura melodia muzyki a

zaraz potem podniósł się rycerz Jan Staufenberg szambelan świętego rzymskiego państwa, aby sąd krwawy otworzyć

W Imieniu Boga i Cesarza — zawołał donośnym głosem — rozpoczynam ja Jan z Staufenbergu, szambelan świętego rzymsko-niemieckiego państwa, wolny i prawdziwy sąd boży. Heroldzie! czyn twoją powinność i zawezwij obydwóch rycerzy! Rozległo się donośne echo muzyki, przyczem herold zawezwał uroczystym głosem obydwóch wojowników do walki; natychmiast dwaj rycerze z dwóch przeciwległych stron opuścili szranki i wystąpili na plac boju.

Kim jesteś i dla czego stajesz przed prawdziwym, uroczystym sądem bożym zapytał się naczelnik rycerza Szwarcenau.

Zapytany odpowiedział na to głosem silnym i donośnym: Imię moje jest Ginter Szwarcenau; przychodzę, aby oskarżyć na życie i śmierć rycerza Ottona Lobensteina. Jakby na ukoronowanie swoich niecných postępów uwiódł on nieszczęśliwą a szlachetną Agnieszkę Boodsheim i stał się przyczyną, iż ta popadła w zwątpienie — nawet swego własnego ojca trzyma on od lat dwudziestu w więzieniu.

Teraz zwrócił się przewodniczący do rycerza Lobensteina! A wy — szlachetny ry-



cerzu, kim jesteście, i cóż macie za odpowiedź na zarzut obecnie wam uczyniony?

Rycerz odparł dumnie i hardo; imienia mego, zdaje się — nie potrzebuję wyjawiać, z pewnością nie ma nikogo w całym tem zgromadzeniu, ktoby mię, nie znał, a co się tyczy oskarżenia, to uznaję je za fałszywe!

Po przeprowadzeniu tych formalności, mogła się już właściwa rozpocząć walka. Broń, którą pozostawiono do wyboru napastnikom stanowiły oszczepy, włócznie i miecze. Pierwsze natarcie odbyło się na włócznie, i obydwaj najezdnicy nie ustępujący sobie pod względem siły fizycznej, uderzyli na siebie z taką gwałtownością, że zdawało się, iż obydwaj równocześnie wyskoczą z siodła. Trzymali się oni jednak silnie na swych wierzchowcach i pochwycili zaraz za inną broń tj. potężne kolby, które na prawym boku siodła były umocowane, albowiem włócznie skruszyły się przy pierwszym natarciu. Co za straszliwe uderzenia i cięcia wymierzali nawzajem, i tak jeden drugiego starał się w niepohamowanej wściekłości prześcignąć! Pomimo tych wszystkich usiłowań jednakże nie udało się żadnemu ranić niebezpiecznie swego przeciwnika, gdyż każdy z nich posiadał dosyć zręczności, zamachy nieprzyjaciela odbijać swą tarczą. Teraz jednak wypełniło

się przeznaczenie Lobensteina; koń jego potknął się i upadł, a on sam wyrzucony został daleko na środek placu. Zaledwie Ginter zoczył ten wypadek, wyskoczył także natychmiast z siodła i w jednej chwili stanął przy boku bezbronnego przeciwnika; jedno uderzenie maczugą wystarczyłoby, aby mu zadać śmierć. Ale Ginter był na tyle szlachetnym; aby upadłemu pozostawić dosyć czasu do podniesienia się. Gdy tenże stanął już na nogach, zawezwał go, by bronił swego życia i uderzył nań mieczem.

Ale łatwo można już było wynik bitwy odgadnąć. Lobenstein walczył pchany żądzą ślepej namiętności zacięcie na nie nie zważając, podczas gdy Szwarcenau każde uderzenie wymierzał z zimnem wyrachowaniem. Wtem ciał Otto przeciwnika swego głęboką tercyą, Ginter odpowiedział nadzwyczaj prędko zręcznie wymierzoną kwartą — uderzenie było silne i ostre. Otto upadł z konia śmiertelnie trafiony a krew jego, obfitym tryskająca strumieniem zafarbowwała czerwono piasek na arenie boju; kilka minut upłynęło zaledwie — i już nie żył.

Cicho siedzieli zgromadzeni rycerze naokół dopóki toczyła się walka; teraz jednak garnęli się tłumnie wszyscy, Ginterowi uściśnąć dłoń i jednogłośnie okrzyk zabrzmiał



daleko: Chwała i cześć zwycięzcy; Bóg okazał sprawiedliwość! Nawet pan zamku Boodsheim przybliżył się. Czy przebaczasz mi rycerzu Ginterze Szwarcenau? zapytał ze łzami w oczach. Ginter jednakowoż wyciągnął tylko ku niemu swą dłoń zamiast odpowiedzi i tak odbyło się pojednanie. Z oczu pana von Staufen, w chwili gdy Lobenstein poległ, spadły jakoby łuski nieświadomości i mylnego przekonania; o ile poprzednio nienawidził Gintera, o tyle szanował go — ba nawet kochał teraz. Jakże szczęśliwym byłby teraz, gdyby choć słówko o miejscu pobytu swej córki się dowiedział, z którą się obszedł tak niegodziwie! Ale ona niezawodnie dawno już umarła; gdyby jednak to przypuszczenie jego nie było prawdziwem, to byłby gotów teraz, jej dłoń z dłonią Gintera z tysiącami błogosławieństw połączyć. Wyraził też tę myśl temu ostatniemu, kazawszy go poprzednio do siebie przywołać. Szwarcenau został mocno wzruszony mową starca — żaden bowiem człowiek nie przeczuwałby podobnego stanu rzeczy — ze względu jednak na Matyldę nie pozostawiał bez nadziei, lecz owszem uprzedzał ojca, że doświadczenie jego było tylko przemijającym a jego Matylda wcześniej czy później powróci do rodzicielskiego domu. Chętnie byłby zatrzymał go stary na

zawsze u siebie, ale zadanie jego jeszcze nie było skończone; wszak musiał jeszcze wybawić dusze zamordowanych w czartowskim młynie pokutujące. Rozstali się więc natychmiast, jednak Ginter musiał przyrzec staremu, zaraz po wywiązaniu się ze swej przysięgi powrócić do Staufenberga.

Słowa Gintera, które wypowiedział przy rozstaniu się, miały się wcześniej sprawdzić, niż się tego sam spodziewał. Zaledwie bowiem opuścił zamek, doniósł burgrabia panu zamku, że jakaś podeszła wiekiem pani pragnie się z nim widzieć natychmiast. Wprawdzie w obecnej chwili nie był usposobionym do przyjmowania odwiedzin, ale bliższe opowiadania burgrabiego o tej osobie, zaciekały go tak dalece, że kazał ją przed siebie przyprowadzić. Owa pani weszła tedy do sali; burgrabia rzeczywiście prawdę powiedział, gdyż pomimo srebrnobiałych splotów włosów, które twarz jej okalały, rysy, jej i cała postawa była pełną młodzieńczej świeżości, a im dłużej na nią stary pan zamku spoglądał, tem więcej rosła w nim chęć dowiedzenia się czegoś od niej, czego jednak sam sobie wytłómaczyć nie był w stanie. Zadziwi się też niezawodnie czytelnik, dowiedziawszy się że stary hrabia Staufen kazał jej koleje swego życia opowiedzieć. U-



czyniła to w wyrazach zupełnie prostych a zwięzłych — losy jej młodości zgadzały się zupełnie z losami jego córki, i począł sobie dla tego znowu za swoją nieczułość robić w sercu ciężkie wyrzuty i lży mimowoli podwójnym strumieniem popłynęły mu w oczu.

— Co wam jest szlachetny rycerzu — rzekła z współczuciem — jakaś nagła słabość zmieniła rysy wasze, czy mam pomoc zawezwać?

— O, nie — odpowiedział pan zamku — zupełnie co innego wzruszyło mię, wiedz bowiem i ja miałem córkę; oślepiiony przez szataną skąpstwa zgotowałem jej ten sam los, który ciebie spotkał, uciekła tedy z ojcowskiego zamku i dotąd... o, moja Matylde! — Na nowo oblał się łzami a nieznajoma ciągnęła dalej: Matylde nazywa się pańska córka? Rzecz dziwna, przed kilku bowiem dniami spotkałam w klasztorze sióstr miłosierdzia, w wiedeńskim Nowem mieście, młodą z szlachetnego domu dziewczę z tem samym imieniem a wasz opis zgadza się z nią zupełnie! Gdyby ona rzeczywiście była córką waszą, czy mogłaby powrócić w dom rodzicielski, mogłaby się spodziewać ojcowskiego przebaczenia?

— I pytacie się jeszcze o to? — rzekł rycerz — wtedy zrzuciła nieznajoma szeroki

plaszcz, spływający jej z ramion i kryjący jej postać jak również perukę siwych włosów i młoda piękna dziewica rzuciła się do nóg hrabiemu Staufen — Matylde jego stracona córka znalazła się! umarła — ożyła!

Niech sobie czytelnicy sami wyobrażą dowolnie rozczulającą scenę powitania po tylu dniach nie widzenia się; my mamy coś ważniejszego do czynienia, albowiem musimy towarzyszyć rycerzowi Ginterowi na drodze do djabelskiego młyna, kędy miał oswobodzić cierpiące zamordowanych dusze!

## ROZDZIAŁ VIII.

Nazajutrz po odbytych bożym sądzie odjechał on z Staufenberga, aby rozpoczęte dzieło zbawienia dokończyć, i w tej chwili napotykamy go na drodze do zapadłej kaplicy. Wąska jedynie ścieżka prowadziła do niej, jednak się zdaje nie rzadko przez ludzi odwiedzana i udeptana; bo jakkolwiek stara kaplica mocno była przez wichry, burze i czas uszkodzona, to przecież co tydzień sprawował w niej służbę bożą kapłan z pobliskiego klasztoru, a wtedy śpieszyło tam wielu węglarzy i innych ubogich mieszkańców leśnych okolic, aby swoją duszę zbudować. Dla



tego też nie było trudno rycerzowi odnaleźć ją, wkrótce także odszukał jedyne mieszkanie całej świętej okolicy w osobie starego pustelnika; mieszkał on w skromnej chacie niedaleko kaplicy. Zadziwił się niepomiernie, zobaczywszy przed sobą rycerza a zdumienie jego jeszcze powiększyło się, gdy mu rycerz powiedział, iż przybył w celu dowiedzenia się o wejściu do podziemnych więzień w djabelskim młynie. — Boże! bądź grzesznikowi miłościw! — zawołał pustelnik. Wiecież więc, że synowi jego udało się mię ludzkiem blaskiem złota pozyskać jako pomocnika podczas napadu na nie nie przeczuwającego ojca, a potem, gdyż już tenże został związany i w więzieniu osadzony — wymusił na mnie uroczyście przyrzeczenie, abym nieszczęśliwego więźnia aż do własnej śmierci żywił, udzielając mu jednak tak szczupło pokarmu, by zawsze znajdował się niemal między życiem a śmiercią.

Wiem wszystko — odpowiedział rycerz — i nawet więcej jak to. Ale teraz w drogę, bo czas nagli, pokaż miejsce pobytu tego nieszczęśliwego! — Pustelnik postąpił naprzód, zapuszczając się w głęboki parów, rycerz postępował za nim w milezeniu. Dzika i coraz dzikszą stawała się okolica, jak gdyby droga prawdziwa do piekła — aż wreszcie stanęli

przed olbrzymią prawie do nieba sięgającą skałą, a tuż pod nogami otwierała swe łono niezgruntowana przepaść; nieprzyjemna woń dobywała się z niej. Pustelnik wyjął z kieszeni długą linę, spuścił się za pomocą niej na dno przepaści, gdzie stanąwszy, zawezwał rycerza, aby toż samo uczynił. Ginter wykonał polecenie pustelnika — ale cóż za straszliwy widok odsłonił się teraz jego oczom! Skruszony, na ziemi, przywiązany do grubego pała za pomocą silnych powrozów i otoczony tańczącymi duchami piekieł siedział wynędzniały i godzien politowania hrabia Kilian z Drachenfelsu; duszna woń siarki i smoły napełniała atmosferę, że zaledwie można było oddychać. Rycerz zrobił ręką znak krzyża świętego i natychmiast znikła czerń szatńska a sam Kilian podniósł się z ziemi. — Chwal i wysławiaj nieskończone miłosierdzie boże — rzekł Ginter do niego, godzina twego wybawienia wybiła nareszcie, wybawienia, którego tak bardzo pożądasz, jakkolwiek go może nie jesteś godnym! Kilian Drachenfels uczył się tym niespodziewanym zdarzeniem w najwyższym stopniu swej duszy i serea wzruszony, że długo nie mógł słowa przemówić; dopiero po kilku chwilach milezenia zebrał siły umysłu i powoli drżącym głosem wyszeptał następujące



słowa: Niech będzie błogosławiony Bóg za swoją łaskę i miłosierdzie; ciężkie było moje przewinienie, ale i ciężka pokuta, którą mi nałożono; dwadzieścia długich lat przeżyłem w męczarniach śmierci, w niemej boleści, wzmagającej się z każdą niemal sekundą. Ale dzisiaj z błogosławieństwem spoglądam na tę minioną epokę mojego życia, bo tylko tym straszliwym męczarniom, których doznałem, zawdzięczam poprawę mej duszy, a spodziewam się, że z mojego tysiąckrotnego umierania w tych podziemiach — wypłynie winnie pomordowanych ludzi. — Ale zdaje i zbawienie wieczne dusz, przemennie nie mi się — odezwał się znów Ginter — że już dosyć byłoby pobytu w tem straszliwym miejscu, przeto podaj mi rękę i pójdź za mną! Rycerz z Drachenfelsu postąpił też za nim i kroczył przy jego boku z siłą prawdziwie rycerską, jakiej się po człowieku, co tyle lat przejechał w więzieniu, iż tylko skóra i kości stanowiły jego istotę, pod żadnym względem spodziewać nie można było; radośne uczucie wolności ożywiło wszystkie jego tętna.

Tą samą drogą, którą rycerz przyszedł, udał się i wkrótce zobaczyli światło dzienne i nie upłynęła znów chwila a przed ich oczami

mi widniała mała kapliczka, ozłocona jasnymi promieniami słońca.

Pomodliwszy się tutaj krótką chwilę, okazał Kilian chęć poprowadzenia rycerza na scenę swoich poprzednich zbrodniczych czynów do djabelskiego młyna, aby mu tu odkryć tajemnice, których jeszcze dotąd ludzkie nie widziało oko. Ginter zgodził się na to i wkrótce stanęli obaj na owej, znanej już czytelnikowi skale, obok drogi. Kilian przycisnął wtedy małą, nieznaczną wypukłość — i o dziwo w tejże chwili usunęła się na bok olbrzymia skała, tajemną maszyneryą w ruch wprawiona, odkrywając podziemne sklepienie, w którem więcej jak czterdzieści kościotrupów zamordowanych ludzi leżało. — Kilian uczynił bolesne poruszenie i wybuchnąwszy jękiem rzucił się obok kościotrupa zamordowanej swej małżonki na ziemię; nakoniec jednak podniósł się, pochwycił drogie mu kości i wyniósł je na otwarte pole. Za nim pospieszył natychmiast Ginter, wzięwszy drugi kościotrup i obydwa złożyli pod olbrzymim dębem, którego konary skłaniały się niemal do samej ziemi. Późem powrócili znów do podziemia, niosąc znów dwa inne kościotrupy i wycieczki swoje powtarzali dotąd nie odpoczywając — dopóki wszystkie kości obok siebie na wolnem



miejscu złożone nie zostały. Następnie wprawił Kilian maszynę znowu w poruszenie, skała zajęła dawne swe miejsce i stanęła tak silnie i majestatycznie, jakoby od tysiąca lat nie była poruszana. Teraz udali się na przeciwną stronę djabelskiego młyna; tutaj wznosiła się wysoka pionowa skała w kształcie ściany, u której stóp znajdował się chodnik, głęboko do wnętrza ziemi prowadzący. Kilian znał jego użytek również dobrze; w jednej chwili zniknął w tajemnym otworze, ale wkrótce powrócił, ciągnąc za sobą ciężką skrzynię która zawierała zdobycze jego poprzedniego grzesznego życia, albowiem napełnioną była błyszczącymi drogimi kamieniami, sztukami złota i innymi kosztownościami. Chciał ją złożyć Ginterowi w darze, ale ten wiedział dobrze, że każda sztuka złota w niej zawarta krwią ludzką była zmazana i dla tego stanowczo podziękował rycerzowi za jego wspaniałomyślność. Z piekła pochodzą te skarby — zawołał, a zatem niech do piekła wracają!

Zaledwie wyrzekł te słowa, zaciemniło się nagle powietrze, ziemia zadrżała, i rozległy się straszliwe odgłosy grzmotów, jak gdyby świat miał się poruszyć w swych posiadach. Wstrętne postacie złych duchów uganiać się zaczęły po powietrzu, a jedna z nich

uderzyła tak silnie Gintera w głowę, że ten bezprzytomnie upadł na ziemię. Jak długo leżał ogłuszony — nie wiedział. Gdy przyszedł do siebie, natura już była uspokojona, ale z djabelskiego młyna nie pozostało ani znaku, albowiem ziemia otworzyła się i pochłonęła go, djabeł zabrał swą własność wraz z niezmiernym skarbem, który Ginter odrzucił i pogrzebał go w środkowym punkcie ziemi. A gdzież pozostał Kilian podczas tej przerażającej sceny? Ginter nie potrzebował go długo szukać leżał bowiem niedaleko na pozór śpiący, słodki uśmiech okalał jego usta. Ginter chciał go obudzić — ale napróżno, albowiem zasnął snem wiecznym, z którego nikt się nie budzi! Pozostał więc rycerzowi Ginterowi Szwarcenau jeszcze jeden obowiązek do wypełnienia, aby dusze zamordowanych uzyskały wieczne zbawienie, a mianowicie kości ich pochować na poświęconej ziemi. Które zaś miejsce mogłoby być właściwsze ku temu, jak ów cichy ementarz, który się znajdował w lesie obok starej, zapadłej kapliczki. Uczynił więc Ginter wszystko, cokolwiek było potrzeba, aby nieszczęśliwi, którym straszna zbrodnicza ręka mordercy śmierć przyśpieszyła, złączeni społem zasnęli na miejscu wiecznego spoczynku snem sprawiedliwych. Kiliana zatem i jego małżonkę--

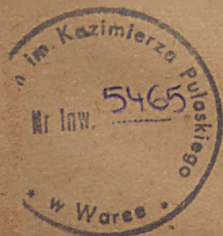


jak sobie sami tego życzyli — połączył jeden grób.

Teraz mógł Szwarcenau z wewnętrznem zadowoleniem powrócić do Staufenberga, do swego przyjaciela, i któż opisze jego radość, gdy tu także Matyldę napotkał!

Połączenie się pary zakochanych nie miało teraz żadnej przeszkody i nie będziemy się bawić opisywaniem wspaniałej uroczystości zaślubin, która wkrótce potem nastąpiła, bo to sami czytelnicy lepiej i dokładniej w myśli sobie przedstawić potrafią! To tylko jeszcze wypada nam nadmienić przy końcu, że podczas gdy Matylda odmawiała przed ołtarzem słowa przysięgi — zjawił się nagle duch jasny, w promieniach błyszczące odzian szaty i położył na głowie szlachetnej młodej pani wieniec mirtowy. Zjawiskiem tem była wybawiona już od pokuty dusza Maryi z Drachenfelsu.

KONIEC.





118